Nr. 19. Warszawa, dnia 25 Kwietnia (7 Maja) 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

PO DWU TYGODNIACH.

Kongres waszyngtoński w przeszłym tygodniu wydał uchwałę oznaczającą datę wybuchnienia wojny na dzień 21 kwietnia. Tego dnia właśnie powyjeżdzali posłowie z wrogich sobie stolic, a nazajutrz Stany Zjednoczone spełniły pierwszy czyn wojenny: wysłały Sampsona z flotą pod Hawanę. Nie zrobił on tam dotychczas jeszcze nic, broni tylko Hiszpanom rzeczywiście dostępu do najważniejszej na Kubie miejscowości, udając przytem, że blokuje całą wyspę. Jedynym epizodem czynnym w wystąpieniu floty amerykańskiej było bombardowanie położonego na wschód od Hawany Matanzasu. Tutaj przyszło do pierwszego starcia — biuletynów stron obu. Amerykanie pochwalili się, że cel swój osiągnęli, a celem tym miało być jedynie zburzenie nowo wznoszonych warowni; Hiszpanie zaś wręcz twierdzą, że nieprzyjaciel, pragnąc zająć Matanzas, doznał zupełnego niepowodzenia i cofnąć się musiał po wyrzuceniu 60 pocisków, których skutkiem była śmierć jednego muła — wymienionego przez ministra wojny w kortezach jako pierwsza ofiara wojny. Doniesienie hiszpańskie w tym wypadku bliższe jest prawdy; przemawia za niem współczesne podstąpienie powstańców pod Matanzas. Nie powiodła się również Amerykanom d. 30 z. m. próba wysadzenia wojska pod Herradurą. Strzelano tam z dział i lądowych i morskich i z karabinów. Ostatecznie trzy, działające przy pomocy mniejszych statków, korwety amerykańskie, nic nie sprawiwszy, odpłynęły na wschód.

Wyprawa na Kubę zatem znajduje się dotychczas (ostatnie wiadomości są z 4-go maja) w stanie przygotowawczym gromadzenia myśli do planów i sił do działania. Wojnę, tę twardą robotę Wulkana i Marsa, Stany Zjednoczone prawdziwie w jednej chwili zaimprowizowały, chociaż dawno już nurtujący je apetyt na Kubę i jawnie stwierdzany zamiar skorzystania z ruchu powstańczego logicznie dopominały się podjęcia przygotowań zawczasu, aby przewidywany moment psychologiczny nagle nie zaskoczył woli sięgającej już po czyn jeszcze bez zdolności do czynu. Wbrew logice Stany Zjednoczone tylko z morskiemi swojemi siłami zaraz po wypowiedzeniu wojny okazały się na wysokości obowiązków, wkładanych na nie przez czynną energię. Flota wyruszyła odrazu, i o ile ilościowo zadość czyni potrzebie, spełnia też swoje powołanie, może się już nawet pochwalić powodzeniem i zwycięztwem. Siły lądowe natomiast, ciągle jeszcze nakazujące na siebie czekać i flocie i samej wybuchłej już wojnie, pobudzać tylko mogą do wzruszania ramion na tę czupurność, która porywa się przed czasem, a robotę zaczyna od końca: wprzód wydaje uchwały, a potem dopiero gromadzi siły i środki wojenne. Już dotychczas odbiło się to ujemnie na działaniach bojowych floty, może jeszcze przynieść zawody i rozczarowania, a w każdym razie opóźnić musi działania dające już pewne wyniki, korzyści i zdobycze.

Bierną postawę floty na wodach Kuby najoczywiściej sprowadziło to właśnie opóźnienie się zbrojności wielkiej rzeczpospolitej na lądzie. Państwo republikańskie, ogromne, ludne, zasobne, rozciągające się od morza do morza, wolne od sąsiadów żyjących z podbojów, nie potrzebowało, i nawet nie mogło, mieć stałej armii; miało tylko zawsze, i ma teraz, na wszelki przypadek, dla dobra i bezpieczeństwa całości niewielką siłę, dwadzieścia kilka, jak obecnie, tysięcy ludzi pieszych i konnych wraz z artyleryą. Pojedyncze stany mają na własne swe potrzeby własne też wojsko, milicyę. Dla republikańsko-federacyjnej formy istnienia Stanów Zjednoczonych było to wielkiem szczęściem, że same warunki, wytwarzane przez geografię polityczną, uwalniały je od obowiązku trzymania wojska, liczebnością swoją zastosowanego do wielkości i terytoryum i społeczeństwa państwowego. Nawet dla ich polityki „Ameryka dla Amerykanów“ dotychczas szczupłe siły istotnego wojska, w linii i rezerwach, oraz kup zbrojnych, uruchomianych w razie potrzeby po nad normę wewnętrzną Stanów, okazywały się wystarczającemi; Europa, mająca milionowe armie, nie pomyślała nigdy od czasów drugiej wojny o niepodległość (1812—15) o skorzystaniu z fizycznej swej przewagi. Na zwycięzką wojnę z Meksykiem o Texas i Kalifornię zupełnie wystarczyła ta nieosobliwa, szczupła i ułomna siła zbrojna, jaką Unia w latach 1845—7 wystawić mogła, nie zmieniając swej budowy. W wielkiej wojnie domowej 1861—5 r. niesłychana energia społeczno-narodowa na północy doskonale wyręczyła organizacyę wojskową, a nawet walkę z również niemilitarnymi współobywatelami Południa uczyniła jednem z najwspanialszych zjawisk w dziejach powszechnych. Ale to wszystko *było*. Podjęcie walki o Kubę, zaczepienie o Europę, o dogmat równowagi, zawsze przez Europę w potrzebie wysuwany, a w końcu walki przewidywane zwycięztwo — wytworzą nowe położenie. Raz odegrana rola mocarstwa wojującego i zdobywającego narzuci już stały charakter. Wejście do kompanii zobowiązuje: trzeba innym dorównać, a tu jeszcze ta kompania, do której wchodzą teraz Stany Zjednoczone, nikomu bezpieczeństwa nie zapewnia, kto do niej raz wszedł. Wewnątrz także obudzi się żądza, wytworzy się stan wojskowy, gorączka wiel-

komocarstwowa owładnie społeczeństwem. I tak, wojna doprowadzi do stałej armii, armia do militaryzmu, militaryzm do upadku rzeczpospolitej. Dalekie to jeszcze, ale już grozi.

Gdyby tylko ta dziś dopiero dwutygodniowa wojna potrwała długo, to przy niewątpliwem ostatecznem zmożeniu Hiszpanii przez Unię — znalazłyby się odrazu wszystkie dane do takiego procesu, niosącego w sobie rozkład konstytucyi waszyngtońskiej i odpowiadającej jej organizacyi. Zdaje się tylko, że pierwotne domniemanie usprawiedliwia wypadki, i wojna nie będzie długotrwałą. Jedno jeszcze takie zwycięztwo, jak odniesione d. 1 maja pod Cavite-Manila u wysp Filipińskich przez flotę komodora Deveya z wód wschodnio-azyatyckich: a pogrom Hiszpanii na morzu będzie tak zupełnym, że sam instynkt zachowawczy nakaże jej postarać się o pokój. I Europa również, nieprzygotowana jeszcze do zwalenia zasady Monroego, niemająca zamiaru i możności tego ruchu kolonizacyjnego, który z Afryki rozpościera się teraz na Chiny, uzupełnić ujęciem się siłą i potęgą za Hiszpanią — już tylko z samych pobudek ekonomiczno-handlowych, dla uchronienia się od strat nieodłącznych od wojny na wielkich przestrzeniach — nie poskąpi zabiegów około pokoju. Teraz już słychać o zamysłach pośrednictwa, żywionych przez Rosyę, Francyę i Niemcy z Austryą. Wewnętrzne wzburzenie w samej Hiszpanii, wywołane już przez klęskę z pierwszego maja, krzyki: „Niech żyje Weyler,“ zabiegi Don Carlosa, wątłość monarchii z jedenastoletnim królem i królową-regentką, której brak niezbędnych zdolności do rządów: wszystko to gwałtownie woła o pokój. Ogłoszenie stanu oblężenia w Madrycie, a nawet podobno już w całym kraju, pozwala w samym już początku wojny dostrzedz niebezpieczeństwo dla dynastyi. Naród mający zwyciężyć nie da się wsadzić w stan oblężenia; dynastya mająca żyć nie potrzebuje do takiej ostateczności się uciekać. Pokój pogodzi naród z losem, ale może go nie pogodzić z dynastyą.

Tydzień polityczny. D. 1 maja wyspa Luzon była widownią pierwszego, w wielkim już stylu, starcia się sił wrogich. Flota amerykańska oceanu Spokojnego, pod Deveyem, wyruszywszy na kilka dni przedtem z pod Hong-Kongu, o północy stanęła pod Carite u bram zatoki manilskiej, i nie czekając dnia, zbombardowała flotę i forty hiszpańskie. Trzy wielkie statki, wiele pomniejszych w porcie, uległo zagładzie: dwa okręty spłonęły, jeden zatonął; amerykański jeden pancernik wyszedł z boju ciężko uszkodzony. Amerykanie podają nieurzędownie straty własne w ludziach na 500, nieprzyjacielskie na 2,000; wysokość pierwszych — prawdopodobna, drugich — przesadzona. Spłonięcie wskazuje, że Hiszpania wojowała chyba statkami o drewnianych kadłubach; gwałtowność pożaru wzmacnia domniemanie, że Stany Zjednoczone do pocisków używają straszliwych bomb naftowych. Cała walka działowa trwała dwie godziny i zniszczyła odrazu całą eskadrę hiszpańską. W ciągu dnia konsul angielski, użyty za pośrednika na podstawie zasadniczego zobowiązania się W. Brytanii do usług Stanom Zjednoczonym niezbędnych, rokował z admirałem hiszpańskim, Montejo, o poddanie Manili wraz ze szczątkami floty, warowniami, zbrojownią i zasobnią wojenną; Hiszpan propozycye odrzucił. Do d. 4 b. m. nie było pewnej wiadomości o spełnieniu przez Deveya groźby, że czego mu odmówią, to siłą zdobędzie. Komodor czeka zapewne na węgiel z S. Francisco.

W przeszłym tygodniu jeszcze, a najpóźniej d. 1 b. m. flota hiszpańska wyruszyła z pod archipelagu de Cabo Verde jakoby na zachód, ku Ameryce; ale może tylko zmieniła stanowisko z powodu ogłoszenia neutralności przez Portugalię. Zamiar zresztą pierwotny mógł ustąpić postanowieniu bezpośrednio wywołanemu przez pogrom, którym dla Hiszpanii rozpoczął się maj.

W każdym razie Amerykanie są ostrożni: gaszą już na noc światła w zatoce nowo-yorckiej; albowiem, mimo klęski niedzielnej, mogła jeszcze flota z pod wysp Zielonego Przylądka popłynąć istotnie ku Ameryce i upatrzywszy słaby punkt na pomorzu północnem, działanie w tej stronie przełożyć nad niebezpieczne zapuszczanie się między Bahamę i Małe Antylle, gdzie ją od czoła oczekuje Sampson z pod Kuby, pewien współdziałania lotnej eskadry Schleya z północy.

Wrażenie klęski odpowiedziało przewidywaniom: zachwiał się już gabinet i co najmniej ministra marynarki, Bermejo, będzie musiał dać gniewowi narodowemu na pożarcie, jeśli się jeszcze sam utrzyma. Chwiać się już zaczyna tron Alfonsa XIII. Republikanizm i radykalizm na wybrzeżu wschodniem podnoszą głowę, na północy od Francyi czuć drgnienia karlizmu. W kortezach surowa krytyka miażdży zachowawców *in effigie*, za to, iż przez długie lata, lekceważyli zbrojność na morzu. Sagasta wywija tarczą bojową w jednej, maczugą policyjną w drugiej ręce; wojna jest dlań konieczna, a stan oblężenia w Madrycie i upoważnienie gubernatorów do ogłoszenia go na prowincyi — niezbędne.

Mocarstwa, mające radzić nad węglem: zali jest kontrabandą wojenną? — powinnyby ważniejszą rozpatrzyć wątpliwość: zali bomby naftowe nie ubliżają cywilizacyi i ludzkości bardziej, niż 400-gramowe pociski, szarpiące ciało tego najwyżej zorganizowanego zwierzęcia, jakiem jest człowiek • • • •

ŻYCIE SPOŁECZNE.

MIESZKANIA TANIE.

Do niecodziennych faktów z życia społecznego zaliczyć należy zatwierdzenie ustawy, „tanich mieszkań, imienia Hipolita i Ludwiki małż. Wawelbergów.“ Głównem zadaniem tej instytucyi, jak głosi statut, ma być pomoc dla ubogiej ludności Warszawy i jej okolic. W tym celu będą nabywane i dzierżawione, całkowicie lub częściowo, nieruchomości miejskie i okoliczne, zabudowywane itd. Instytucyi służy prawo w domach do niej należących utrzymywania tanich kuchni, herbaciarni, sklepów spożywczych, warsztatów, żłobków, ochron i innych zakładów, niezbędnych dla ludzi niezamożnych. Urządzeniem i prowadzeniem tego całego przedsięwzięcia zajmie się komitet, w którego skład wchodzą założyciele i 12 osób zaproszonych. P. H. Wawelberg jest dożywotnim prezesem komitetu. Osoby, które ofiarują na rzecz

---

51)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Jakież tutaj może być poszanowanie religii? — mówił mi jeden z duchownych we wsi Rykowskoje; — jeszcze niedawno u nas grzebano nagich nieboszczyków.

— Jakto?

— Tak. Przynoszą do mogiły nagiego, no i odprawiamy pienia pogrzebowe. Zgorszenie!

— A gdzie ubranie aresztanta?

— Proszę spytać!.. Nie pogrzeb, lecz pośmiewisko.

Wielki cios uczuciom religijnym katorgi wymierzają także owe „pożycia nieprawe,“ oddawanie katorżnic osiedleńcom, co się praktykuje „w interesach kolonizacyi.“ Jeden z najważniejszych sakramentów, traktowanych zazwyczaj przez lud z wielkiem poszanowaniem, profanowany jest w oczach katorgi tem „oddawaniem.“

— „Po co się modlić?“ — posłyszeć można bardzo często; — „po co do cerkwi chodzić? W takim grzechu żyjemy. Tam w Rosyi mąż jej jeszcze chodzi po świecie a tutaj ją obecnie chłopu oddano: „żyj!“

Albo:

— Mąż na ciężkich robotach w Korsakowskiem, a żonę — do Aleksandrowskiego: żyj z obcym!

Pamiętam wykrzykniki, jakie wywołało przybycie Choroszki *) do Rykowskiego posterunku; męża, który dobrowolnie przyjechał na katorgę towarzyszyć żonie.

— No, no! — kiwali głowami osiedleńcy; — do niej mąż dobrowolnie przybył, a ją tymczasem tutaj trzem chłopom na przemian oddawano!

Ślub w oczach katorgi stracił znaczenie sakramentu. Bardzo rzadko można posłyszeć nieśmiałe westchnienia „towarzyszki“-katorżnicy:

— Dobrze byłoby się pobrać. Zawsześ tam lepiej bywa poślubionym.

Ale większość, prawie wszyscy, rozumują tak:

— Nie podoba się — zmieniasz, jak ubranie.

— Czyż tu się troszczą o podtrzymanie uczuć religijnych śród skazańców?!—skarżą się duchowni.

Katorżnik jest uważany za „byłego człowieka,“ więc i każde uczucie ludzkie, w tem samem mniemaniu, jest mu obce.

— To wszystko tkliwość, sentymentalizm, humanizm!— mówią panowie urzędnicy sachalińscy.

Katorżnicy tylko z kategoryi poprawczej są uwolnieni od robót w ostatnie trzy dni wielkiego tygodnia. Ale przedsiębiorca prywatny, Majew, w posterunku Due *) zapragnął, iżby skazańcy pracowali i w ciągu tych trzech dni. Obojętna na wszystko katorga machnęła ręką i poszła. To rozporządzenie nieprawne powstrzymał duchowny w Due. Wyszedł on z krzyżem w ręku naprzeciw robotników, zdążających do kopalni. Było to w wielki piątek. Katorga „opamiętała się“ i wróciła do więzienia. Starcy w szpitalu derbińskim **) ci straszni starcy, ubodzy, którzy pogardzają wszystkiem na świecie, prócz pieniędzy —skarżyli się przede mną, że:

— Księdza na oczy nie widzą. Nawet na Wielkanoc nie był.

A ksiądz derbiński mówił mi:

*) Mówiłem o nim, opisując podróż na Sachalin.

*) Towarzystwo kopalni węgla „Sachalin.“ P. Majew według zawartej umowy, otrzymuje skazańców do robót w kopalniach za drobną sumę; w rzeczywistości zaś są to warunki poddaństwa: przedsiębiorca może posyłać robotnika albo do kopalni, albo brać do siebie na kucharza, furmana itd.

**) Rodzaj schronienia dobroczynnego (*przyp. tłom.*).

instytucyi przynajmniej 30 tysięcy rs. lub nieruchomość nie mniejszej wartości, mają prawo dożywotnio uczestniczyć w komitecie ponad jego komplet. Fundusz zakładowy, ofiarowany przez małżonków Wawelbergów, wynosi 300,000 rs. Dochód z domów ma być tak normowany, aby kapitał przynosił około 4% rocznie, cały zaś dochód czysty obracany będzie na dalszy rozwój instytucyi.

Na początek zaprojektowano cztery duże domy czteropiętrowe (po 110 łokci długości frontowej), z których budowa dwu pierwszych w krótce się rozpocznie. Każdy dom zawierać będzie po 106 mieszkań, złożonych z izby i kuchni, lub z samej tylko izby, a obliczonych w ten sposób, ażeby na jednego lokatora przypadało około 15 metrów sześciennych powietrza. Wogóle warunki zdrowia i wygody mają być godzone z wymaganiami oszczędności. Prócz powyższych, będzie pewna ilość mieszkań o dwu pokojach z kuchnią. Cena mieszkań, według przybliżonego rachunku, nie powinna przekraczać 50—100 rs. rocznie.

Taki jest zarys nowej u nas postaci działalności filantropijnej. Dość znaczny fundusz zakładowy, oraz energiczne i niezwłoczne wzięcie się do dzieła, każą przypuszczać, że tym razem cała sprawa w czynie pójdzie o wiele pomyślniej niż dawniej. Próby poprzednie, nacechowane bardziej przedsiębiorczością niż bezinteresowną usługą społeczną, nie przyniosły dla ludności ubogiej prawie żadnego pożytku. Dzieje owych usiłowań uważamy za stosowne przypomnieć na tem miejscu: R. 1862 zawiązała się w Warszawie spółka budowy domów dla robotników i rzemieślników. Kapitał ogólny z udziałów 27 osób urósł do 93,150 rs., *maximum* zaś oznaczono na 150,000. Spółka nabyła na rogu ul. Czerniakowskiej i Szarej obszerny plac, którego część odprzedała za 12,000 rs. a na dwu kawałkach wybudowała dwa domy duże; prócz tego zakupiła plac przy ul. Pańskiej i dom na nim wybudowany sprzedała z zarobkiem przeszło 10,000 rs. Wreszcie nabyła jeszcze plac jeden przy. ul. Siennej i tam dom wzniosła. Pomimo powodzenia materyalnego, nić harmonii spólników zaczęło przegryzać zniechęcenie skutkiem ustawy, z góry wadliwie nakreślonej. Mianowicie, zamknięto odrazu działalność w granicy 150,000. rubli Nadto, nie zdołano wytworzyć odpowiedniej administracyi. Skutkiem tego gospodarka, według p. A. Suligowskiego, przedstawia taki smutny obraz: „Te same brudy, a przynajmniej niewiele mniejsze niż u pierwszego lepszego prywatnego właściciela; żadnych udogodnień; odświeżenia, czy odmalowania izby lokator doprosić się nie może. System umów o komorne oparty, jak wszędzie, na rachunku miesięcznym, chociaż jeżeli gdzie, to w tego rodzaju przedsiębiorstwie, należało zastosować terminy tygodniowe, zgodnie ze sposobem pobierania zarobków.“ *)

Błędy te powinny być wskazówką i przestrogą dla kierowników nowej instytucyi. Witamy ją radośnie z tego względu, że zaczątek pomocy filantropijnej, w stosunku do potrzeb dość skromnej, może z czasem przejdzie w społeczną i rozwinie się na szeroką skalę. Wybudowanie kilku domów z przystępnemi i mniej lub więcej dogodnemi mieszkaniami, to jeszcze nie wszystko. Założyciele i kierownicy powinni wyjednać, na wzór urządzeń zagranicznych, tani przejazd tramwajami, oraz wybudowanie nowych linij kolei konnej tam, gdzie ich dotąd niema, pomimo gwałtownej potrzeby. Ani rozmiary funduszów, ani liczba członków założycieli nie powinny być krępowane. Niech się ta instytucya rozrasta możliwie najszerzej w zakresie środków materyalnych i inicyatywy ogółu, a tem prędzej dojdzie do znaczenia prawdziwie społecznego i w warunkach bytu ubogich warstw pracujących pewne pożądane zmiany wytworzy.

Za granicą pod tym względem zrobiono już bardzo wiele. Tak wiele, że nasza obecna instytucya w stosunku do działalności na zachodzie Europy, jest zaledwie drobiną zaczątkową. Szczególnie Anglia wybitnie się zaznaczyła w tym względzie i to już od bardzo dawna. Nie będziemy tu kreślili obrazu tej działalności. Zaznaczymy tylko kilka wybitniejszych szczegółów. Tak np. przepisy i bille (r. 1875—1882) upoważniły miasta do wywłaszczania niezdrowych dzielnic częściowo lub całkowicie, w celu otwierania szerszych przestrzeni lub budowy domów dla robotników. Drugi (z r. 1883), zobowiązał towarzystwa tramwajowe i koleje żelazne do uprzystępnienia przejazdu robotnikom przed godz. 8 rano i po 6 wieczorem. Prawa te wyryły dość znaczny ślad w czynie. W ciągu kilku lat (do r. 1889) wydano pożyczek na cel powyższy ogółem 2,421,895 f. st. na 3½, 4½%. Miasta również starały się o poprawę mieszkań nędzarzy. Największą atoli działalność w tej mierze rozwinęło samo społeczeństwo. Arystokracya i wogóle jednostki zamożne zaczęły zakładać spółki budowlane. Do najstarszych należy „Metropolitan Association for improwing the Dwellings of the industrions classes,“ założone w r. 1841. Liczy ono sporo domów w Londynie, z wzorowemi mieszkaniami, zajętemi przez półtora tysiąca rodzin robotniczych. Przewyżki zysków nad 5% obraca na dalsze nakłady. Z powodzeniem rozwija się późniejsze Towarzystwo, założone w r. 1863 pod nazwą „Improwed industrial Dwelling company.“ Dostarcza ono mieszkań dla 24,000 osób. Pomimo przystępnych cen lokali, pierwotny kapitał 50,000 f st. urósł do 500,000. Powyższe stowarzyszenia mają na celu dostarczanie mieszkań warstwom robotniczym, w lepszym bycie. Inne instytucye zaopatrują w schro-

*) A. Suligowski „Kwestya mieszkań“ Warszawa 1889.

— Chodziłem i nauczałem. Ale musiałem zaniechać: nie umieją się zachowywać należycie. Czytam, mówię, a tu w drugim kącie łają się na całe gardło ohydnemi słowy. Śmieją się. Więc przerwałem swoją działalność.

— A mnie zdawałoby się wprost przeciwnie, że właśnie tę działalność należy wzmocnić.

Ale duchowny, zamiast odpowiedzi, popatrzał tylko na mnie ze zdumieniem.

W bibliotece szpitala Aleksandrowskiego znalazłem następujące książki religijno-moralne, przeznaczone dla skazańców:

16 egzemplarzy broszury „O tem, że heretycka nauka Tołstoja burzy podstawy porządku społecznego i państwowego.“

21 egzemplarzy broszury „O nieboszczyku słudze bożym Aleksandrze“ (poecie Puszkinie).

4 egzemplarze „Wskazówek o wegetaryanizmie.“

14 egzemplarzy broszury „O widowiskach teatralnych podczas postu wielkiego.“

Naturalnie, ma to wielkie znaczenie: broszury o Tołstoju, o którego istnieniu ludzie ci nie wiedzą, o wegetaryanizmie, o którym nigdy w życiu nie słyszeli, a szczególnie o widowiskach teatralnych podczas postu wielkiego!

Jednocześnie w tej samej bibliotece, tak dobrze uzbrojonej przeciwko widowiskom teatralnym, jest do rozdania katorżnikom tylko pięć egzemplarzy Nowego Testamentu i dwa egzemplarze „Męki Pańskiej.“

Oto wszystko!

Język katorgi.

W katordze jest wiele rzeczy, o których ludzie postronni nie powinni wiedzieć. To właśnie skłoniło ją do stworzenia osobnej mowy dla użytku domowego. Narzecze to bardzo ciekawe, oryginalne—dzieło całych pokoleń skazańców. W niem się odzwierciedla często i zapatrywanie na świat i historya katorgi. Z tej gwary oryginalnej bije nieraz to dobry humor, to cynizm; płyną z niej to łzy, to krew. Zabić w języku katorgi nazywa się *przyszyć.*

— Uderzyłem go, a on legł na ziemi, jak przyszyty.

Oto pochodzenie słowa „przyszyć,“ nie pozbawione swego rodzaju humoru.

„Przyszyć“ samo przez się znaczy zabić, ale *przyszyć brodę — oszukać.*

— Przyszyłeś mu brodę i zabieraj co wiesz!

Być może, iż pochodzenie tego wyrazu tkwi w legendzie o czynach pewnego włóczęgi syberyjskiego, o którym podania żyją dotychczas w pamięci katorgi. Rabował on wyłącznie bogatych samotnych starców — „stołowierów“ (starowierców), szukających zbawienia w tajdze syberyjskiej. Chodził na rabunek, według słów podania, tylko z nahajką. Nigdy swej ofiary nie wiązał, lecz dobrze zastraszywszy, przyklejał starcowi brodę lakiem do stołu. Następnie gospodarował w izbie swobodnie. Jeżeli zaś starzec nie chciał wskazać, gdzie są ukryte pieniądze, natenczas włóczęga okładał go nahajką. Od silnych uderzeń starzec mimowoli się miotał i wtedy doznawał podwójnych cierpień: od bata i brody przypieczętowanej. Zabrawszy pieniądze, włóczęga pozostawiał swą ofiarę z brodą przyklejoną: „Siedź! Nikomu znać nie dasz!“

Wnioskując z tego, że oprócz wyrażenia „przyszyć brodę“ zdarzało mi się słyszeć także: „przypieczętować brodę“ — można to źródło pochodzenia uważać za całkiem prawdopodobne.

Katorga posiada dwa specyalne terminy do oznaczenia, jak się „przyszywa“ ludzi. Rozbić głowę, znaczy *rozłupać harbuza* (!); uderzyć nożem w piersi — *uderzyć w duszę.* Piersi w gwarze katorżnej nazywają się duszą. Oprawca korsakowski, Medwiediew, opowiadając mi o wieszaniu, dodawał:

— Jak się zakręcili na powrozie, gniotło mi coś koło duszy.

niénia warstwy najuboższe. Między innemi wielkie Towarzystwo „Artizans Labourer's and General Dwellings Company,“ buduje małe domki w okolicach podmiejskich dla rodzin oddzielnych i robi na tem wyborne interesy, skoro nędzarze dali mu możność zwiększenia pierwotnego funduszu 250,000 do 1,780,000 f. st. (r. 1889). Do r. 1885 wybudowało ono 6,200 domków. Również szeroką działalność rozpostarło Towarzystwo „Peabody Buildings,“ powstałe z zapisu (pół miliona f. st.) filantropa Peabodego.

W ogóle towarzystwa tego rodzaju z rokiem każdym mnożą się i rozrastają. Powstają nawet stowarzyszenia robotnicze (*building societies*). Z drobnych składek miesięcznych gromadzą one fundusz pożyczkowy na kupno lub budowę domów dla członków swoich. R. 1871 stowarzyszeń takich liczono w Anglii około dwu tysięcy, obejmujących kilkakroć sto tysięcy członków.

Działalność tego rodzaju rozwinęła się również i we Francyi na szeroką skalę. Takie np. „Société cooperative immobiliere des ouvriers de Paris“ lub „Société anonyme des habitations ouvriers de Passy Auteil“ wyrobiły sobie pewną sławę.

Wreszcie w Ameryce istnieją instytucye jeszcze o szerszym zakresie. W Filadelfii np. łączą one z przedsiębiorstwem budowlanem kasy: oszczędności, ubezpieczenia i pożyczkowe. Robią olbrzymie obroty, a rezultatem działalności ich jest, że 50,000 ludzi ubogich (10% ogółem mieszkańców) posiada własne domki *).

U nas, oprócz wzmiankowanej spółki niefortunnej w Warszawie, r. 1873 powstał projekt Towarzystwa budowlanego warszawskiego, które miało działać w całej gubernii. Była to wszakże myśl przedsięwzięcia spekulacyjnego.

Działalność na wzór zagranicznej, chociaż w skromnych rozmiarach, przydałaby się u nas także na prowincyi, zwłaszcza w ogniskach fabrycznych, gdzie znaczna część ludności robotniczej nie ma wcale mieszkań i musi codzień odbywać dość odległe wędrówki, co przy braku komunikacyi dogodnej przyczynia się do przedłużenia godzin pracy i szybkiego wyczerpania sił.

*) Zenon Pietkiewicz. „Szkice społeczne.“ Warsz. [illegible]

KRONIKA POZNAŃSKA.

Okólnik ministeryalny, uświęcający działalność hakatystów. — Protest prasy polskiej. — Alarmy. — Projekty, rozporządzenia i gwałty, czyli okólnik w czynie. — Porażka hakatystów w Lubawie. — Wędrówki robotników. — Procesy prasowe.

Germanizacya w ostatnich czasach przybrała nową postać, którą warto zanotować dla przyszłych historyków cywilizacyi. Prywatną robotę hakatystów świeżo poparł okólnik ministeryalny do urzędników, nakazujący im wykonywanie zleceń prześladowców. Oto treść tego dokumentu:

„W prowincyach z mieszaną ludnością pod względem narodowym, z interesami, nacechowanymi przeciwieństwem plemiennem — urzędnicy państwowi, komunalni, nie wyłączając nauczycieli, mają obowiązek szerzenia poczucia *narodowo-niemieckiego* i *prusko-państwowego* między ludnością miejscową. Obok sumiennego spełniania swych obowiązków służbowych w stosunku do wszystkich poddanych bez wyjątku, tudzież utrzymania porządku prawnego i powagi państwowej, powinni ci urzędnicy i po za służbą, *w życiu towarzyskiem*, dążyć do osiągnięcia wskazanego celu. Gdzie tylko zdarzy się sposobność, powinni czynnie współdziałać w podniesieniu dobrobytu ludności niemieckiej, oświaty niemieckiej i kultury niemieckiej. W tym celu ministeryum zaleca zakładanie stowarzyszeń handlowych, zabiegi o przystępne środki kształcenia, zakładanie i pielęgnowanie stowarzyszeń patryotycznych, ognisk wspólnych dla zabawy towarzyskiej, wspieranie całych grup i jednostek narodowości niemieckiej; zakładanie lecznic i stacyj do pielęgnowania chorych. Przy tem wszystkiem należy unikać drażnienia ludności obcoplemiennej; chętne zaś żywioły trzeba wszędzie do współdziałania wciągać. Niezależnie od energicznego zwalczania dążności, wrogich niemczyźnie, urzędnicy i nauczyciele powinni pracować w duchu pojednawczym — łagodzić sprzeczności dążeń i interesów.“

Tyle powiedziano jawnie, dla upozorowania *ducha pojednawczego*. Sam atoli fakt tego okólnika, jego treść, dążności jawne i ukryte, świadczą o formalnem wypowiedzeniu żywiołowi polskiemu wojny na śmierć i życie. Walka owa ma taki charakter, jak gdyby przed Niemcami stanęła uzbrojona armia wrogów. Rozporządzenie to jest oczywistym i bezprzykładnym faktem pogwałcenia równości konstytucyjnej mieszkańców, niosącym wielkie ciężary dla państwa. Kto rozumie dążności tej polityki, kto się przyglądał jej czynom, ten łatwo oceni całe znaczenie okólnika, który w oględnych słowach zaleca najbrutalniejsze środki tępienia wszelkich żywiołów niegermańskich. To szczególne otaczanie opieką zorganizowaną ludności niemieckiej, samej przez się silnej, jest po prostu nadaniem jej przywilejów przemocy, a pozbawieniem ludności polskiej wszelkich środków istnienia i oddychania.

Okólnik ten — jak zaznacza *Germania* — otwiera szeroką drogę szpiegom, oszczercom, donosicielom i karyerowiczom.

Prasa polska poznańska wystąpiła z protestem dość energicznym przeciwko temu aktowi germanizacyi. Między innemi na szczególną uwagę zasługują następujące słowa *Orędownika*: „Wolno panom ministrom wydawać takie okólniki, skoro im się to podoba. Nie mamy sposobu temu przeszkodzić. Ale szukać będziemy sposobów, żeby się bronić przeciw wszelkim dążeniom germanizacyjnym. Nie lekceważymy sobie bynajmniej w naszem wyjątkowem położeniu takich okólników, ale rozwiniemy tem większą czujność, tem większą baczność, rozwiniemy tem większą pracę i energię, żeby nam i takie nawet okólniki nie zatamowały drogi do dalszego rozwoju naszych sił i rozbudzania świadomości narodowej wśród najszerszych mas ludności. Jako poddani prusey, spełniamy nasze obowiązki wiernie, a swoją drogą mamy prawo do życia i żyć będziemy jako naród, a te-

---

I wskazywał okolice śledziony...

„Umrze“ ma różne znaczenie na Sachalinie. W posterunku Korsakowskim cmentarz znajduje się w pobliżu latarni morskiej, a więc umrzeć w tej miejscowości znaczy *pójść do latarni morskiej*.

— A gdzie ten, taki duży?

— Poszedł do latarni, jaśnie wielmożny panie! — odpowiadają w szpitalu.

— Oby już prędzej do latarni! — jęczą chorzy.

W posterunku Aleksandrowskim cmentarz leży na wzgórzu, które ongi zajął osiedleniec Raczkow na wypas bydła. Dlatego umrzeć w posterunku Aleksandrowskim znaczy *pójść na grunt Raczkowa*.

Ponieważ posterunek Aleksandrowski jest głównym punktem wyspy i każdy skazaniec musi koniecznie przez niego przejść, więc i „grunt Raczkowa“ jest wyrażeniem powszechnie znanem, a „pójść na grunt Raczkowa“ w języku skazańców sachalińskich wogóle znaczy „umrzeć.“

Pogróżka „wysłać na Raczkowa,“ znaczy to samo, co „przyszyć.“

Z przestępstw, popełnianych na Sachalinie, oprócz morderstwa bardzo często się zdarza podrabianie pieniędzy. Szczególnie jest obecnie rozpowszechnione robienie rubli srebrnych. Parowiec japoński „Jasiama-Maru,“ który przybył do Władywostoku po węgiel, stał w pobliżu sachalińskiej kopalni Włodzimierskiej około tygodnia. Japończycy, jak zwykle, przywieźli dla skazańców „saki“ (wódkę japońską) i różne produkty, a sprzedawszy towary bardzo drogo, odpłynęli z kieszeniami pełnemi... fałszywych rubli. Katorga prześcignęła ich w oszustwie! Podrabianie pieniędzy na Sachalinie praktykuje się wszędzie. Następnie są one zbywane w kraju Ussuryjskim niedoświadczonym tubylcom. Zapytałem pewnego razu o głośną w swoim czasie zbrodniarkę, obecnie włościankę osiedloną:

— Pocóż ona jeździła na ląd stały?

— Po co! Pieniądze fałszywe woziła. Wiadoma rzecz!

„Pieniądze“ w gwarze sachalińskiej noszą nazwę *sarga*. Ale sarga bywa japońska i *lipowa*. „Lipowem“ katorga nazywa wszystko co fałszywe: pieniądze paszporty, imię! Robić „sargę lipową“ — pieniądze fałszywe, skazańcy z pewnym humorem nazywają: *piec bliny*. Opowiadano mi, — być może anegdotkę, alle z uroczystem zapewnieniem, że to prawda — chrakterystyczny wypadek: Pewien przedstawiciel władzy zapytał skazańców, czem się trudni jeden z osiedleńców?

— Bliny piecze! — odpowiedzieli katorżnicy, którzy lubią pożartować z władzy.

Urzędnik zrozumiał, że on piecze bliny na sprzedaż „jak się robi w miastach,“ i zawołał.

— Aa! doskonale, wybornie! Bardzo jestem zadowolony z niego, niech się stara! Bardzo mi jest przyjemnie!

Trzeciem przestępstwem, uprawianem szeroko na Sachalinie, jest kradzież. „Ukraść“ znaczy w języku katorżników *Styryć (tyryt')*. Namówić do kradzieży, ułatwić, wskazać, gdzie są pieniądze, znaczy *natyrzyc* (*natyryt'*). Przekazać rzeczy skradzione w inne ręce, ażeby schować końce do wody—*przetyrzyć (pieretyryt')*. Przy podziale oszukać wspólnika, zataić część na własną korzyść — *odtyrzyć* (*ottyryt'*). Żadna większa kradzież, ani na Sachalinie, ani u nas w miastach nie obejdzie się bez *natyrczyków* i *przetyrczyków*, przyczem sam *styrczyk* z podziału otrzymuje zwykle najmniej, gdyż lwią część „odtyrzyć“ muszą „natyrczycy“ i „przetyrczycy,“ ułatwiający kradzież i zbywający rzeczy kradzione.

Złodziej, to tylko parobek, przez całe życie pracujący na korzyść innych.

(C. d. n.)

o prawa odebrać sobie nie pozwolimy. Ciężko i mozolnie to pójdzie, ale pójść musi, bo los nasz, nasza przyszłość nie zależy ani od ministrów pruskich, ani od systemu pruskiego, ale zależy ona od Pana Boga, od nas samych, od naszej własnej pracy, roztropnego i mądrego urządzenia się."

Ażeby tego rodzaju rozporządzenia, polecenia i wskazówki wprowadzić w czyn, hakatyzm, uświęcony i popierany przez władze ministeryalne, rozwinął na szeroką skalę środki, podniecające opinię publiczną i ciągle ją niepokojące alarmami. Tak np. na zebraniu konserwatywnego stowarzyszenia wyborczego w Stolpe, starszy prezydent regencyi na Pomorzu, Putkamer, wygłosił mowę o wzroście ruchu polskiego. W niektórych prowincyach pruskich, „od wieków uważanych za czysto niemieckie," polonizacya tak się rozwinęła i spotężniała, że w przyszłych wyborach do parlamentu może być nawet niebezpieczną. Polacy na Pomorzu odbyli mnóstwo zgromadzeń wyborczych, co jest także rzeczą godną uwagi.

Po każdym alarmie sypią się coraz nowe projekty, rozporządzenia, idą gwałty. Oto jest ich wiązanka: Projekty i rady: Na wyższe stanowiska kościelne należy powoływać osoby, które nie ulegną wpływom antipaństwowym. Wszyscy zaś urzędnicy, nauczyciele, sędziowie itd., powinni bezwarunkowo „stać na gruncie niemiecko-narodowym." Ożenioni z Polkami powinni mieć wstęp zamknięty do tych placówek. Każdy urzędnik, który pragnie pracować w prowincyach wschodnich, musi koniecznie być ożeniony z Niemką. Tego samego warunku należy wymagać od oficerów pułkow, stojących w prowincyach wschodnich. Pułki te muszą być utrzymane w zupełnej „czystości." Polacy nie powinni w nich odbywać służby jednorocznej. Robotników polskich z Królestwa i Galicyi trzeba zastąpić urlopnikami wojskowymi, którzy latem powinni być wysyłani ze stron niemieckich do polskich, oczywiście z zastosowaniem znacznych ułatwień przewozowych. W taki sposób powstanie nowa ludność napływowa niemiecka, ku wzmocnieniu osiadłej, a na tem tle zaludnienia wzrośnie dopiero przemysł i handel niemiecki! Komisyi kolonizacyjnej należy przyznać prawo przymusowego wywłaszczania tych majątków polskich, które dla jej celów są konieczne!!

Rozporządzenia: Ze względu, że w Poznańskiem i Prusiech zachodnich rolnicze spółki pożyczkowe i banki ludowe korzystają z kredytu berlińskiej kasy centralnej dla instytucyj pożyczkowych — dyrekcya tej kasy wydała rozporządzenie, aby spółki polskie przyjmowały także Niemców na członków i udzielały im pożyczek; nadto, aby posługiwały się w administracyi swej językiem niemieckim, umieszczały ogłoszenia w gazetach niemieckich i na walnych zebraniach prowadziły swe narady w języku niemieckim. I oto każda spółka, która pragnie nadal z kredytu rządowego korzystać, musiała podpisać deklaracyę, że warunki powyższe ściśle wypełni.

Nagle wielu urzędników pocztowych i kolejowych — Polaków, przeniesiono z okręgów regencyjnych: poznańskiego, bydgoskiego i kwidzyńskiego do prowincyi nadreńskiej, Westfalii, Hanoweru i Pomorza. Dodajmy, że jeszcze wcześniej to samo rozporządzenie wykonano względem nauczycieli, sędziów, budowniczych regencyjnych i innych urzędników. A oto fakty drobniejsze: W Poznańskiem pięciu aptekarzom — Polakom, którzy nabyli apteki nieuprzywilejowane, regencya postawiła za warunek koncesyi, aby na szyldach umieszczono tylko napisy niemieckie i aby nie wystawiano w oknie żadnych flaszek i mikstur z etykietami polskiemi. Jeden z aptekarzy zobowiązał się, że za każde przekroczenie tych warunków zapłaci 100 marek grzywny i że nie będzie praw swoich dochodził na drodze sądowej. Sąd ławniczy w Poznaniu skazał zegarmistrza, Bialasa, na 30 marek kary, lub więzienie: za wystawienie w oknie sklepowem zegarka, broszki i łańcuszka z wyrytemi na nich oznakami herbu m. Poznania. Gdzieindziej policya nakazała usunięcie napisu polskiego na firmie: „mistrz krawiecki" i zastąpienie go wyrazem: „Schneidermeister," pod groźbą kary.

Tyle zebraliśmy na razie faktów z działalności germanizatorów, zgodnie z zaleceniem okólnika ministeryalnego. Na zakończenie tego obrazu, musimy jeszcze przytoczyć następujący urywek z *Dziennika Poznańskiego*:

„Zarząd Towarzystwa HKT, które podburzyło przeciw nam wielką część prasy niemieckiej, jest bardzo czuły na artykuły prasy polskiej, i gdy padnie jakie ostrzejsze słowo, charakteryzujące jego działalność, zaraz odwołuje się do sądu, oczywiście w celu, aby prasę polską i opinię publiczną w zwalczaniu hakatyzmu onieśmielić. Po szeregu innych pism polskich doznał i *Dziennik Poznański* zaszczytu, że mu zarząd Towarzystwa HKT wytoczył proces o obrazę, której się dopatrzył w korespondencyi naszej z Gera, zatytułowanej „Hakatyzm w podróży." Mianowicie nie podobał mu się ustęp, w którym jest mowa o tem, że hakatyzm w mętnej wodzie usiłuje łowić dla siebie i za to mieliśmy proces, który się toczył 29 lutego przed sądem ławniczym w Berlinie. Tam go nam wytoczono, ponieważ tam zamieszkuje dr. Hansemann, jeden z założycieli hakatyzmu, który artykułem osobiście czuł się obrażonym, i ponieważ pismo nasze ma także abonentów w Berlinie, co urzędowo stwierdzono. Sąd uznał, że zachodzi obraza i skazał naszego odpowiedzialnego redaktora, p. Ludwika Hojnackiego, na 50 marek kary. *Posener Zeitung*, referując o tem, taką robi uwagę. „Tylko 50 marek? To przecież nękana procesami prasa polska taniej wychodzi na sądach w stolicy, aniżeli tu w kraju." Dla nas z procesu tego wypływa nauka taka, że winniśmy pilnie śledzić denuncyacye hakatyzmu w prasie niemieckiej i nie puszczać płazem obraz, których tam pełno!"

Pomimo wielkiej siły własnej, pomimo nieograniczonych praw do samowoli i gwałtów, wreszcie pomimo poparcia ministeryalnego, hakatyści nie zawsze prowadzą walkę i rabunek skutecznie. Z Lubawy np. ktoś pisze do *Gazety Gdańskiej*, że z założonej tam niedawno filii hakatystycznej występuje jeden kupiec po drugim, ponieważ ludność polska miejscowa i okoliczna, z której przeważnie dotąd czerpali swe istnienie, nie chce nic od nich kupować. Piekarz, p. Langmann, był już nawet u księży z prośbą, aby obwieścić z ambony, że on hakatystą nie jest.

Od kilku tygodni wędrówki robotników, t. zw. obieżysasów, przybrały niebywałe dotąd rozmiary. Lud polski tłumnie podąża nietylko do Saksonii, Westfalii, Hanoweru i prowincyj nadreńskich, ale nawet do Szlezwigu i Holsztynu, do Jutlandyi, Danii i na wyspy leżące między Danią a Jutlandyą. Już dziś całe wsie stoją wyludnione, pozbawione sił najlepszych. W domach pozostali starcy, kaleki i dzieci. Ziemianie miejscowi są ogromnie zmartwieni tem zjawiskiem, zagrażającem poważnie ich interesom ekonomicznym. Dawniej jednocześnie z odpływem fali ludności wiejskiej robotniczej na zachód, przybywała znaczna liczba włościan z Królestwa Polskiego i Galicyi. Dziś jednak coraz mniej ich przychodzi, skutkiem utrudnień, czynionych przez władzę. Zresztą i owi przybysze, przekonawszy się, że w Poznańskiem zarobki nie są zbyt korzystne, idą w ślady obieżysasów; wędrują dalej, przechodząc tylko przez W. Ks. Poznańskie i Prusy.

Na zakończenie kilka szczegółów, stanowiących przyczynek do dziejów ucisku prasy i myśli polskiej. Tygodnikowi *Praca* w Poznaniu zagrożono dwoma nowymi procesami. Jednemu z odpowiedzialnych redaktorów, p. Antoniemu Lipińskiemu, wytoczona będzie sprawa o artykuł (w nr. 14-ym) w kwestyi funduszu kolonizacyjnego; drugiemu, p. Janowi Nepomucenowi Szymańskiemu, za wiersz (w nr. 15) p. t. „W pięćdziesiątą rocznicę roku 1848," w którym dopatrzono się podburzania do gwałtów. Izba karna sądu ziemiańskiego w Ełku skazała p. Karola Batorskiego, redaktora i nakładcę mazurskiej *Gazety Ludowej*, na cztery miesiące więzienia.

el.

LISTY Z PARYŻA.

Walne zgromadzenie stowarzyszenia byłych uczniów szkoły polskiej w Paryżu. — Bilans obrad Izby z ostatniego sześciolecia.

Stowarzyszenie byłych uczniów szkoły polskiej w Paryżu odbyło niedawno pod przewodnictwem A. Dybowskiego walne zebranie. Liczy ono około trzystu pięćdziesięciu członków czynnych i honorowych. W początku bieżącego roku taki był stan różnych kas:

1) Kasa której głównym celem jest niesienie pomocy członkom stowarzyszenia: fundusz żelazny wynosił 19,073 fr. 45 c.; dochód roczny 3,916 fr. 92 c., rozchód 785 fr. 65 c.

2) Kasa szkoły polskiej, której dochody idą na stypendya dla synów i wnuków emigrantów, wychowanych w tejże szkole: fundusz żelazny wynosił 25,698 fr.

3) Kasa pomocy dla uczniów, wychodzących ze szkoły i uczących się rzemiosł: fundusz żelazny 605 fr.

4) Stowarzyszenie wydaje miesięcznik *Bulletin polonais*, mający na celu szerzenie wśród obcych znajomości ruchu literackiego i naukowego, jako też życia społecznego. Fundusz żelazny 1,400 fr.

5) Kasa pomocy naukowej dla młodzieży polskiej, kształcącej się w wyższych zakładach francuskich: fundusz żelazny 26,703 fr., dochód roczny 1,192 fr., rozchód 1,061 fr.

Słowem, kapitały stowarzyszenia wyszą obecnie około 74,000 fr., dochodu było (w r. 1897) 9,545, rozchodu 4,488 fr.

Członkami zarządu na r. 1898 mianowani: Jan Kisielewski, sekretarz; Stanisław Karwowski, kasyer; A. Budzyński, K. Dobrzycki, Wacław Gasztowtt, J. W. Gasztowtt, Ksaw. Gorecki, J. Karwowski i Władysław Piotruszyński.

Rozeszła się wreszcie według przepisu po sześciu latach istnienia Izba posłów i wkrótce zacznie się komedya wyborcza. Dziś już mury miejskie pstrzą się od przeróżnych obietnic, zapewnień i próśb rozmaitych kandydatów.

Ciekawym zaiste jest bilans działalności tego, mającego się wnet odrodzić ciała parlamentarnego. Uchwaliło ono następujące prawa:

Wydało karę śmierci na zdrajców i zrobiło kilka poprawek w regulaminie armii i floty. Stworzyło ministeryum kolonij i przyłączyło Madagaskar i część wysp Tahiti do Francyi. Wyznaczyło kilkanaście zapomóg rozmaitej wysokości dotkniętym klęskami żywiołowemi.

Dokonało kilku konwersyj skarbowych, kilku małych zmian w dziedzinie poczt, przyjęło w zasadzie kilka miejscowych przedsiębiorstw, między innemi wystawę w r. 1900.

Jak na tak głośną „Izbę paryską,“ to niezbyt wiele. (Niewliczone: wyciągała rączki po łapówki panamskie, kolejowe i inne. Najżmudniejsza praca).

Ale — są jeszcze prawa społeczne. Zaznaczmy zgóry, że przeważnie należą do kategoryi drugorzędnych.

Dla pracowników zaprowadzono odszkodowania w razie wypadku. Przyrodnim dzieciom przyznano połowę mienia, które wypadłoby na nie, gdyby były uznane. Ważnem zdaje mi się zobowiązanie sędziego do poddawania oskarżonego śledztwu jedynie w obecności jego obrońcy i danie możności skazanym niesprawiedliwie poszukiwania swych krzywd w trybunale. (Prawo to istnieje oddawna w Anglii).

Nadano prawa kobietom: 30 stycznia 1896 zapewniono niewieście zamężnej swobodne rozporządzanie owocami swej pracy; pozwolono jej także w razie, jeśliby mąż ją porzucił, brać z należnej mu płacy ilość odpowiednią do jej potrzeb i do liczby dzieci. Dwudziestego zaś stycznia 1898 r. zezwolono kobietom być członkami trybunałów handlowych.

— Czy to już wszystko?

— Wszystko...

W. Bugiel.

POLSKIE OSADY NA WĘGRZECH.

I.

Przy końcu stycznia, w czasie słynnych obrad berlińskich nad zwiększeniem funduszu kolonizacyjnego, spotkała nas ze strony „bratanków“ węgierskich niemiła niespodzianka. Rodacy Petőfiego i Kossuta, synowie tych, którym przed mniej niż pięćdziesięciu laty daliśmy niemało, w urzędowem swojem piśmie, *Politische Correspondenz*, umieścili następujący komunikat:

„Rozprawy nad ustawą o kolonizacyi w pruskiej Izbie poselskiej budzą w Węgrzech najwyższe zainteresowanie i uwagę. Idzie tam, jak wiadomo, o podniesienie uchwalonej poprzednio sumy stu milionów marek do wysokości dwustu milionów celem snadniejszego umożliwienia kolonistom niemieckim osiadania w polskich częściach kraju.

Słowa kanclerza i prezydenta ministrów: „niechaj Polacy wypełniają swe obowiązki wobec Prus!“ — przyjęto w dziennikarstwie niemieckiem ze szczególnie żywymi objawami uznania. Także i w naszych kołach na Węgrzech słowa te znalazły silny odgłos. Oto widzimy, z jakim naciskiem w Prusiech przeprowadzane są usiłowania zjednoczenia, jaką gorliwość rozwija tam rząd w interesie polityki narodowej. Chociaż żadne państwo Europy nie może się poszczycić czemś, coby szło w porównanie ze wspaniałem (!) dziełem w wielkim stylu, jakiem jest dzieło kolonizacyi niemieckiej w prowincyach pruskich, to jednak nie wynika z tego, aby którekolwiek mogło się zrzekać obowiązku narodowej konsolidacyi lub go zaniedbywać.“

Piękne te uwagi przeszły, zdaje mi się, niepostrzeżenie u nas (jak wogóle tyle ważnych spraw!). Tylko lwowskie *Słowo Polskie* umieściło odpowiedź na „silny odgłos“ komisyi kolonizacyjnej w sercach węgierskich. Artykuł wstępny 23-go numeru tego pisma zaznaczył słusznie brak uzasadnienia dla żywionych przez nas długo sympatyj węgierskich, położył nacisk na szkodliwe dla Galicyi współzawodnictwo węgierskie w zakresie przemysłu i napiętnował „łaszenie się narodu, który miał niegdyś pragnienia swobody.“ Wreszcie poruszył nieco brutalne metody „konsolidacyi,“ stosowane względem Słowaków, Serbów, Rusinów i Rumunów.

Zauważyłem jednak i w tej bardzo pożądanej odpowiedzi pewien brak. Nie było tam ani słowa o Polakach węgierskich. Mam na myśli nie osiadłych przygodnie w Poszcie lub w innych miastach, ale lud. Wszak w północnych Węgrzech jest do stu tysięcy włościan polskich. W r. 1876 Czech Sembera naliczył ich 83,000, po dwudziestu latach można przyjąć przyrost siedemnastotysięczny. Popieranie wojny ekonomicznej Austryi z Węgrami i zwalczanie szowinizmu węgierskiego, zalecane przez *Słowo Polskie*, zasługują niewątpliwie na uwzględnienie, ale jeszcze ważniejszem zdawałoby mi się (bez względu na sympatye i antypatye) zajęcie się węgierskim odłamem ludu polskiego, dotąd tak zaniedbanym, że prawie się o nim nic wie...

Od czasu do czasu rzuci ktoś słówko o góralach węgierskich, tego jednak za mało. Stąd chciałbym zestawić bodaj część danych, jakie posiadamy w tym względzie. Dotknę i najnowszych wiadomości, zawartych w sprawozdaniu Romana Zawilińskiego z wycieczek do powiatu Czadeczańskiego w latach 1892—95.

W r. 1412 Zygmunt węgierski zastawił Władysławowi Jagielle dwanaście miast spiskich za sumę 37,000 kóp groszy czeskich. Nigdy niewykupione stanowiły one aż do sierpnia 1770 r., gdy Marya Teresa otoczyła je kordonem, starostwo spiskie. Liczyło wówczas około dwustu tysięcy ludzi *).

Ten jeden szczegół wyjaśniałby dostatecznie istnienie osad polskich na Węgrzech. Niezależnie odeń spływała zawsze z gór karpackich ludność w równiny — czeska, rusińska i polska.

Do końca zeszłego stulecia trwał związek między Galicyą i przyłączonym do Węgier Spiżem. Tarnów zaopatrywał tę dzielnicę w księży Polaków. Powoli łączność rozluźniła się. Doskonalsze umysły jednak pamiętały o cząstce zakarpackiej i w r. 1830 np. Leonard Chodźko w doskonałem swem rozszerzeniu geografii Polski Malta-Brune (*Tableau de la Pologne*, s. 42) podaje, iż w równinie liptowskiej, w okolicach Lewoczyna, Rożniawy, Koszyc i Przeszowa (Eperies) „wielka ilość ludu mówi językiem polskim.“

Między r. 1830 i 1850 znajomość ludu górskiego wzrosła u nas znacznie. Praca demokratyczna zbliżyła ówczesną młodzież z góralami. Zdaje mi się, że tej okoliczności zawdzięczamy rozprawę niejakiego J. Z., zawierającą dokładniejsze dane o Polakach węgierskich, jako też prace L. Zejsznera „Orawa“ i „Spiż“ (*Biblioteka Warszawska*, 1853—55). Pierwszy zwiedził około r. 1850 polskie wsie na Spiżu i nad Orawą i opisał je w lwowskim *Dodatku tygodniowym* z r. 1851 (nr. 41). Poruszył on zarazem kilka spraw, które dotąd nie są przedawnionemi. „Ponieważ szkoły są tu wszędzie słowackie— powiada on — ponieważ kazania mówi się tu po słowacku i słowaczyzna wsiąka w język naszego ludu, więc należałoby północny Spiż i polską część Orawy przyłączyć do dyecezyi tarnowskiej. Także w sprawach szkolnych, sądowych i administracyjnych powinnyby się te ziemie złączyć z Galicyą.“

Zejszner nie zaprząta się temi pytaniami, daje jednak miły i doskonały opis niektórych wsi polskich na Węgrzech. Polscy Orawianie mówią, według niego, „językiem, który doznał jeszcze mniej zmian, niż u Podhalan i jakby skamieniały trwa w swych starożytnych formach.“ Niestety zaznacza już, że Orawianie „ciążą ku Pesztowi.“ W Spiżu opisuje wsie Żdar, Lubownię, Podoliniec ze słynną szkołą pijarską, fundowaną w r. 1680 przez Jerzego Lubomirskiego, podaje także kilka piosnek juhasa polskiego z Jaworyny.

Zajmujące te dane możemy w r. 1876 uzupełnić cyframi. Dostarcza nam ich Czech, Alojzy Wojciech Sembera. Filolog z zawodu, zaznaczywszy jeszcze w r. 1864 przy wykreślaniu granic języka czeskosłowackiego, że język polski jest w użyciu wśród ludności Węgier północnych, rozwinął w dwanaście lat później ten szczegół w pracy: „Ilu jest Czechów, Morawian i Słowaków?“ (Mnoho-li Cechii, Moravanii a Slovakii?) *).

„Dotychczasowi badacze czescy i niemieccy — zaczyna on—Szafarzyk w dziele *Narodopis slovansky*, Czoernig w *Ethnographie des Kaiserthums Oesterreich* (dodałbym obecnie geografa francuskiego, Elizeusza Reclus) uznają za granicę języka polskiego i słowackiego polityczną granicę Szląska i Galicyi. Jest to omyłka. Wykazałem poprzednio (*Dialektologia ceskoslovenska*, Wiedeń, 1869, s. 79), iż język polski, nie trzymając się miedz politycznych, przechodzi z Cieszyna przez Beskidy do „stolicy“ (komitatu) Trenczyńskiego ku rzece Kysucza, przekracza ją i zapełnia cały powiat Czadczański i część Żylińskiego i Pytczańskiego. Z drugiej strony zaś od Babiej Góry rusza ku górnej Orawie aż do Namiestowa, tak że prawie jedna trzecia Orawian mówi po polsku. Ta gałąź posunęła się aż do Liptowa w stronę Rużomberga.

Prócz tych są Polacy w Spiżu, w północno-zachodnim węgle od Magóry, między Białką i Dunajcem, aż ku Leśnicy i Szczawnicy, a stąd na południowy wschód równą linią ku Lubowni, Gniazdom i Rużbachom; po za tem w kilku wsiach na południe od Piwnicznej nad rzeką Popradem. Zwą ich Magórczanami, w Czadczańskiem góralami, w Orawie góralami lub krajniakami.

Istnieją jeszcze drobne gromadki polskie w Szaryskiem: Grodzisko przy Bardyjowie z 73 Polakami, Szandal w Stropkowskiem liczy ich 82.

Mowa w Spiskiem. Orawie i w Trenczyńskiem podobną jest do polskiej około Cieszyna, Krakowa, Żywca, Piwnicznej i Nowego Targu. Nosówki zastępują tu czeskie *u*, *ú*: mówi się więc: „ręka“ a nie „ruka,“ „dąb“ nie „dub,“ „są“ nie „jsu.“ Wszystkie wogóle cechy języka polskiego można tu odnaleźć. Słowak mówi: repa, breza, hora, pena; węgierski Polak: rzepa, brzoza, góra, piana; Słowak: mlady, chlap, k panosi, zrno; węgierski Polak: młody, chłop, do pana, ziarno. Czasowniki słowackie kończą się na *ti*, polskie na *ć*: lezti, trhati, usmrtiti — po polsku: łazić, targać, uśmiercić“ **).

Ogólne dane popiera Sembera szczegółowemi, pełnemi dokładności. Już dla samego braku miejsca nie mógłbym wyliczyć za nim tych dziewięćdziesięciu ośmiu wsi, gdzie znajduje się ludność polska. Streszczę jednak jego wyniki:

„Stolica“ Spiska jest najbogatszą w Polaków. Liczy ich 27,213, stąd na powiat Kieżmarski wypada 17,897, na Lubowieński 9,316. Niektóre osady posiadają więcej niż tysiąc mieszkańców polskich. Żdar pod Magórą liczy ich 1,387, Lendak (Landeck) 1,053, Stara Wieś (Altendorf) 1,029, Lubownia Stara (Altlublau) 1,936, Lubownia Nowa 1,031.

Po Spiżu idzie stolica Trenczyńska. Tu obok 237,702 Słowaków jest 24,579 ludu polskiego. Skupił się on w północnej części powiatu Czadeczańskiego. W Żylańskim jest jedna wieś polska Zawódź (Zavodć) z 633 ludności, w Bytczańskim Maków i Wysoka, liczące razem 1,358 osób.

Osady czadeczańskie są duże. Czadec mają 3,523 ludności polskiej, Czarne 1,502, Oleszna 1,271, Oszczadnica 1,504, Rakowa

*) Chodźko: *La Pologne illustrée*, s. 166. Paryż.

*) *Casopis Musea kralovtského ceskeho*, Praga, 1876

**) *Casopis*, s. 663—5.

2,648, Tkalise 1,930, Staszków 1,204, Turzówka 6,377. Pomijam wsie, liczące mniej, niż tysiąc mieszkańców.

Stolica orawska ma prócz 61,178 Słowaków, 24,196 Polaków. Głównie w powiecie Cleńskim i Namiestskim. Jabłonka np. liczy ich 3,151, Lipnice Dolne 2,671.

Wreszcie w stolicy Liptowskiej Sombera podaje sześć osad polskich: Bory (Borové) Wielkie i Małe (razem 1,089) i Huty (900) w powiecie Świętomikołajskim (Swatomikulaszskim), Osadę (1,200), Łużno (2,045) i Rzewuce (1,831) w powiecie Rużomberskim; razem 7,065.

Zliczywszy wszystko, otrzymujemy 83,053. I na to nigdzie ani jednej polskiej szkoły, ani jednego polskiego duchownego!

Takim był stan rzeczy dwadzieścia kilka lat temu. Sądzę, że szczegółowe dane Sombery świadczą dostatecznie o poczytności jego pracy. Po nim nikt nie zajrzał do wykazów statystycznych Węgier północnych, nikt nie zechciał sprawdzić ich z rzeczywistością...

A dziś?

(D. n.).

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Dla nieszczęśliwych.

Litość jest zastępczynią sprawiedliwości. Według Schopenhauera pierwsza z nich stanowi cnotę niewieścią, a druga męzką. W rozróżnieniu tem tkwi dużo prawdy. Istotnie, kobieta mniej rozumuje, mniej stara się zważyć ściśle rozmaite pierwiastki każdej sprawy, niż mężczyzna, a kiedy w życiu dostrzeże zbyt wyraźny skutek ułomności jego ustroju, pragnie usunąć lub złagodzić złe miłosierdziem. Mężczyzna, o ile myśli i pracuje nad poprawą stosunków ludzkich, chce im nadać pewną organizacyę, któraby działała prawidłowo, związać je w doskonałą maszynę, wyrabiającą pożytek ogólny. Kobieta przyjmuje najwadliwszą organizacyę i najgorszą maszynę, jak konserwatystka, a jeżeli egoizm nie pożera wszystkich jej uczuć, ona poświęca ich część na łatanie i sztukowanie. Gdy utkana i uszyta przez mężczyznę na warsztacie sprawiedliwości odzież wytrze się i podrze, kobieta oczyści ją i zaceruje miłosierdziem.

Tak możnaby rozwinąć uwagę Schopenhauera.

Nasza dobroczynność jest również przeważnie kobiecą. Panie zakładają przytułki i schroniska filantropijne, panie kwestują i tańczą na dochód biednych, panie wyrabiają przeróżne plastry kojące na rany nędzy. Świeżo przygotowały one nowy. Zdaje mi się, że wiernie opowiem jego historyę. Przed kilku laty p. M. Wrotnowska powzięła zamiar stworzenia przytułku dla biednych rakowatych. Widziałem nawet kilka maleńkich pokoików, wynajętych na ten cel, chociaż nie wiem, czy one prędko się zaludniły. O ile pamiętam, przedsięwzięcie to nie miało wówczas dostatecznych środków, więc dojrzewało powoli. Słyszałem tylko, że p. Wrotnowska z uporem i stanowczością kobiet, opanowanych przez głębokie uczucie, ślubowała swemu zamiarowi wierność niezłomną. I oto wynurza się w Warszawie „Towarzystwo opieki nad nieuleczalnymi chorymi," a ponieważ w łonie jego zarządu znajduje się p. Wrotnowska, więc przypuszczam, że ono wyrosło z jej siewu. Jeżeli dla tej dobrej duszy nie zapisuję tu szczególnego uznania za nowy objaw jej starań, to tylko dlatego, że nie wiem na pewno, czy mój domysł jest prawdziwym.

Według ogłoszonej ustawy, Towarzystwo „ma na celu udzielanie pomocy wyłącznie nieuleczalnym ubogim chorym Warszawy." Do osiągnięcia tego celu będzie ono, w miarę funduszów: zakładało i utrzymywało przytułki oraz lecznice dla przychodzących chorych tego rodzaju; udzielało im bezpłatnie pomocy lekarskiej w domu, oraz zaopatrywało ich pieniędzmi, odzieżą, żywnością i przytułkiem tych, którzy niezdolni są pracować. Członkowie Towarzystwa dzielą się na: założycieli, którzy jednorazowo wniosą przynajmniej 150 rs., rzeczywistych, płacących rocznie 10 rs. lub ofiarujących instytucyi bezinteresownie swoją pracę, oraz na honorowych, wybieranych przez zgromadzenie ogólne, którzy położyli dla niej szczególne zasługi. Oprócz tych źródeł dochodu, fundusze Towarzystwa gromadzić się będą z wszelkich ofiar, zapisów, przedstawień, odczytów itd. Szczegóły organizacyi pomijam.

W określeniu zadań tej instytucyi tkwi sprzeczność, która bardziej świadczy o dobrych chęciach, niż o nadziei skutecznego ratowania. Bo jeżeli przedmiotem opieki mają być chorzy *nieuleczalni*, to czego spodziewać się można od udzielania im „pomocy lekarskiej" i „zakładania dla nich lecznic"? Kto jest nieuleczalny, nie może być leczony, stracone więc byłyby dla niego i dla Towarzystwa wszelkie zabiegi i ofiary. Prawdopodobnie więc chodzi tylko w tym kierunku o niesienie ulg w cierpieniu nieszczęśliwym, a główny punkt ciężkości działań Towarzystwa spoczywać będzie w przytułkach.

Bodajby powstało ich tyle, ile potrzeba. Nieuleczalni chorzy stanowią jeden z kręgów piekła Dantejskiego w życiu. Jest to świat boleści i rozpaczy, którego mroków nie rozjaśnia ani jeden promień nadziei, którego grobowe zimno łagodzą tylko nieco ciepłe tchnienia miłosierdzia. Jakkolwiek odgradzamy się od tego świata jedni egoizmem, a drudzy niewiadomością, przed każdym z nas rozdziera się nieraz jego zasłona i ukazuje nam obrazy bezmiernej niedoli. Te widoki w każdej wrażliwej duszy pozostawiają niezatarte wspomnienie, które pobudza nas do objawów litości cząstkowych i dorywczych, a które teraz powinno nas zobowiązać do stałego popierania instytucyi, pragnącej rozpostrzeć swe opiekuńcze skrzydła nad niezasłużonem męczeństwem. Sama choroba nieuleczalna jest wielkiem okrucieństwem losu, a o ileż ona staje się straszniejszą, kiedy w jej ofiary zapuści swe szpony nędza! Co mają począć, jeśli żyć chcą lub muszą, biedacy, których toczą złośliwe nowotwory lub ubezwładniają paralíże? Nie zapewnią sobie wygody, nie zamieszkają w domach zdrowia, nie dostaną się nawet do szpitalów, lecz muszą cierpieć w zatęchłych i wilgotnych norach, znosić głód i zimno, patrzeć na niedostatek i cierpienia tych, którzy przez nich giną, a których oni ratować pragną. Ci, którzy nad poziom życia unoszą się w balonie i zgóry spoglądają na jego oddalone obrazy, nie mogą mieć należytego pojęcia, jakiej tragedyi bohaterem jest nieuleczalnie chory nędzarz; znają go dopiero miłosiernicy, którzy do niego się zbliżą.

Kiedy czytam w powieści po raz tysiączny zmienioną kombinacyę z męża, żony i kochanka, kiedy na kromnach literatury widzę ciągle rozpięte tkaniny z wzorami wiarołomstwa, rozpusty, melancholijnego próżniactwa i filozofującego przesytu; kiedy słyszę wrzawę zaciekłych sporów o te pierwszorzędne „kwestye," zdaje mi się zawsze, że jesteśmy stadem mew na powierzchni morza, które nic nie wiedzą, co się dzieje w jego głębi i które mniemają, że one są przyczyną gwałtownego ruchu jej fal. Narzędzie zgorszenia publicznego, jakiś totalizator, więcej rozpala uczuć i zwraca na siebie uwagi, niż wszyscy rakowaci biedacy, którzy przesuną się przez otwarte dla nich schronisko. Niema na to rady. Świat obraca się nie na pasach morału, lecz na osiach swej natury, której rdzeń stanowi samolubstwo. Miłość bliźniego śpi jak zaklęta królewna w mgłach przyszłości. Kiedyś powstanie ona ze swego snu wiekowego, dziś tylko czasem budzi się na chwilę, gdy nią targnie jakiś zbyt mocny jęk. Nie kusząc się o wawrzyny Don Kiszotów, pragnących przerobić i uszlachetnić świat z dnia na dzień, wyzyskujmy przynajmniej lepsze jego instynkty w drobnej mierze. Towarzystwo opieki nad nieuleczalnymi chorymi jest zaledwie maleńką oazą na wielkiej pustyni niedoli, ale i ono da ulgę gromadce nieszczęśliwych wędrowców. Rozmiary tej pomocy zależyć będą od wielkości koła, w którem ona znajdzie odgłos i zyska poparcie ogółu.

Poseł Prawdy.

LITERATURA I SZTUKA.

POKŁOSIE POETYCKIE.

II.

Pomyślmy teraz, że pesymizm i jego doktrynerya, nie wynikłe wewnątrz osobowości poety, spadły, jak zimne, wilgotne skrzydła nietoperza na tę naturę południowce gorącą, płochą, wylaną, lubującą się w rozkosznych objęciach życia, w blaskach, barwach, woniach i melodyach natury. Powstanie zjawisko, jakie się ogląda, kiedy mokra szmata padnie na rozpalony płat blachy: naprzód słychać syk, potem metal wygina się, wypręża, wyłamuje i skręca. Ten syk, to wyłamywania się i wyginania — to *preludya*, *zamyślenia*, niezliczone ośmiowierszowe poemaciki.

Pomyślmy także, że fantazya poety — to duży złocisty ptak, a refleksya — to zwoje nasyconej, gęstej, ciężkiej mgły, wiszącej w powietrzu. Ponieważ dla mnie rodowód Tetmajera wyprowadza się bezpośrednio z Asnykowskiego gniazda, rozpatrzmy więc porównawczo bujanie tych dwóch ptaków po mgle refleksyi. Asnyk ma tęgie skrzydła: kto wie, czy nie najsilniejsze ze wszystkich poetów polskich. Mgła je ogarnia, przepaja, ocięża, ale one nie dają się zmódz. Co więcej, dobrze mu jest w tej zgęstwionej przestrzeni, przyzwyczaja się do niej, oddycha nią jeszcze głębiej, niż zwykłem powietrzem — zaczyna czerpać z niej właśnie najlepsze pierwiastki swego duchowego życia. I dlatego jest najgłębszym poetą polskim. Mędrzec-poeta, ale *zawsze* poeta. I Tetmajera nęcą te mgliste odmęty, rzuca się w nie często całym rozpędem, całym rozmachem młodych sił. Nie przesądzam zupełnie, czy te *siły* właśnie pozwoliłyby mu utrzymać się tam dłużej, zwrócę tylko uwagę, że tutaj raz jeszcze przejawia się odruchowość jego natury — i pierwszym właśnie odruchem będzie teraz wycofanie się z tej atmosfery. Wraca więc złoty ptak do swoich tęcz, obrazów, blasków, melodyj, a po drodze ze skrzydeł opada mu skroplona mgła i unosi się nad tymi obrazami, jak ciemniuchny, powłoczysty, gazowy

opar. Ma to swój odrębny, niewysłowiony urok.

Jest jeden wiersz w seryi III-ej, który odsłania jeszcze jedną stronę duchowej organizacyi poety, a nosi tytuł „Muszla“; odtwarza on pewien całokształt dziecięcych marzeń i wrażeń i jest może najpiękniejszy w całym zbiorku. Zdawać by się mogło, że umysłowość poety w dzieciństwie była jakąś cudowną płytą fotograficzną, która niegdyś, niegdyś odebrała obrazy, a potem zamknęła się za nimi ciemnia optyczna — i tak pozostały odbite. Dzisiaj z tych klisz, zachowanych gdzieś na dnie świadomości, *wywołuje* je szmer muszli. Obrazy pozostały takie, jakimi widziało je oko dziecka: skłębione, chaotyczne, ale żywe. Chciałoby się takich wierszy czytać jak najwięcej. Chciałoby się także pomówić obszerniej i o tych obrazach, które utworzyły się w umyśle poety później, a mianowicie o obrazach z tatrzańskiej i włoskiej natury, ale tu sprawa opisu jest tak ściśle związana ze sprawą języka, że ich niepodobna rozplątać. Może nie czas jeszcze na zsumowanie tego, co wniósł Tetmajer nowego do naszego języka poetyckiego, ale tutaj ujawniła się bujność jego natury najwidomiej, szczególnie w tej trzeciej seryi. Trzeba tylko zaznaczyć, że ma on już swoje własne duże słownictwo obrazowe i że trzeba wyróżnić dwa źródła, które składają się na nie. Z jednej strony urabia on je sobie niezwykle śmiało i bardzo szczęśliwie z pierwiastków już usankcyonowanej mowy literackiej; z drugiej odświeża je i ożywia mnóstwem wyrazów, wziętych z gwary ludowej (dyalekt podhalański). Jeżeli to wszystko jest tylko kwestyą formy, jeżeli to wszystko nie jest bardzo pięknym i bardzo doniosłym naszym dobytkiem ostatnich czasów, to zrzekam się na przyszłość czytania poezyj Tetmajera. Co do mnie, pomimo najrozmaitszych miar, które przykładać można do utworów poetyckich, gdyby mi kazano rozklasyfikować sobie poetów współczesnych według sumy rozkoszy, jaką odebrałem od każdego z nich, nazwałbym Tetmajera największym z poetów współczesnych.

A teraz z dziedziny pełni i bujności wrażeń przechodzimy w sferę daltonizmu. Zacznę od p. Władysława Bukowińskiego, a raczej od dość obszernego cyklu jego wierszy p. t. „Starzy i młodzi.“ Tytuł obiecuje wiele: to niby nieśmiertelna walka dwóch pokoleń, zachodzącego z wschodzącem, a choćby tylko sam protest, sam krzyk tego ostatniego, coś niby niezapomniane: *my i wy*. U p. Bukowińskiego znajdujemy nie tyle walkę, ile opowiadanie o niej, nie tyle naturalny protest i krzyk, ile forsowanie płuc, nie tyle tematy: *my i wy*, ile: *wy i ja*. Ale my (tj. czytający) bardzo mało wiemy, o co tu właściwie toczy się walka na kilkudziesięciu stronach, jeszcze mniej, kim są ci *wy*, z powodu których p. Bukowiński chce „roztrzaskać sobie głowę o pierwszy kamień,“ a najmniej to już chyba wiemy, kim jest właściwie to *ja* autora. Słyszymy tylko o „gwiazdach ideału,“ o „walkach i szamotaniach się ducha,“ o „rozświcie tęczowych zórz,“ o „ołtarzu idei,“ o „potędze wiedzy i czynu,“ o „kruszeniu przesądów obroży,“ o „pożyczaniu sił od chmur i burz,“ o „lesie nowych myśli,“ o plwaniu „na bezmózgich przesądów łupinę“ itd. Zapewne—ideały, ołtarze idei, lasy myśli, nowe zorze, są to wszystko bardzo piękne rzeczy, ale mówią nadzwyczaj mało. W całym zbiorze nie dostrzegamy śladów wsłuchania się w odgłosy dzisiejszego dziejowego pomruku, nie wiemy, dlaczego wiersze te zostały napisane dziś, a nie dziesięć lub pięćdziesiąt lat temu. Wiersze p. Bukowińskiego mają charakter wszechświatowy i wszechczasowy, nie dlatego, żeby tkwiło w nich jakieś ziarno wszechludzkiej prawdy i nieśmiertelnego piękna, ale dlatego, że podobne ogólniki są równie zajmujące dziś, jak i w epoce romantyzmu. W tem wszystkiem jednak widoczne są dwie cechy, które p. Bukowińskiego charakteryzują: duża zręczność oraz dziwna zdolność pamiętania i jednocześnie zapominania. Ta zręczność podsuwa mu tematy, które dźwięczą nader zajmująco, pozwala naśladować prawdziwe uczucia, myśli, natchnienia, porywy, melodye, obrazy. Ta zdolność pamiętania i jednocześnie zapominania sprawia, że p. B. przejąwszy się zbytecznie poetami naszymi, a w szczególnej mierze Asnykiem, Słowackim i Konopnicką, zanadto pamięta ich utwory, tak że pisząc następnie pod i wrażeniem wpadając w ich ton, nastrój i zachowując ich pomysły, zapomina jednocześnie, że ani ton, ani nastrój, ani pomysły nie są jego. Nie będę się wdawał tutaj w rozbiór analogij pomiędzy takimi wierszami, jak „Szkoda“ Asnyka i „Szkoda“ p. B:

Szkoda, gdy się kwiat
Nie uwieczni w ziarnie,
Szkoda młodych lat,
Gdy przeminą marnie itd.

jak „Król Juba“ Asnyka i „Arystogiton“ p. B., jak „Przyszłość“ p. B. i „Do autora trzech psalmów“ Słowackiego. Nie będę także doszukiwał się genezy takich wierszy, jak „Myśl,“ „Ad Patres,“ „Na schyłku wieku,“ „Noc majowa,“ bo byłoby to zbyt łatwo i bezcelowe. Dziwnem i nieuzasadnionem byłoby żądać od młodego autora, ażeby utwory jego wolne były od zewnętrznych wpływów i reminiscencyj. Ale tutaj już niema mowy o jakimś wpływie szczególnym tego lub owego poety na wiersze p. Bukowińskiego, to jest poprostu zapładnianie się cudzą twórczością.

A forma?

P. Bukowiński nie ma *swojej* formy, jak nie ma jej i p. Jan Iwański, który wydał niedawno tomik wierszy. W porównaniu z utworami poprzedniego autora wykazuje on *daltonizm* znacznie spotęgowany równocześnie z nader osłabioną zdolnością przystosowywania się do tej ułomności oraz maskowania jej. Po za tem erotyka jego jest bardziej nudna, a wiersze refleksyjne bardziej trościwe i mniej puste.

Jeżeli dwaj ci autorowie, których zbiorki objętością są dość pokaźne, zajeżdżają przed wrota nieśmiertelności na mniej lub więcej czystej krwi pegazach, to p. Edward Słoński, którego zbiorek zawiera niespełna siedem kartek, zjawia się nam już chyba na kucyku. Napisał on kilka pieśni i w nagłówku dodał: „Dla mojej pani.“ Spowiadam się niniejszem „publicznie“ z popełnionej niedyskrecyi przejrzenia tego „prywatnego“ dokumentu, ale więcej nie powiem nic. Zdaje mi się jednak, że p. Słoński miałby prawo pisać nietylko „dla swojej pani.“

Władysław Sterling.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Michał Bałucki: *Szwaczki*, komedya w trzech aktach.

Teatr nasz, który ostatnimi czasy wziął zupełny rozbrat z literaturą, zapomniał, że chcąc stać silnie na stanowisku jej ignoranta, nie powinien dawać sztuk, osnutych w liche sposób na temacie, wyzyskanym w sposób znakomity przez literaturę; albowiem odsłania własne ubóstwo i zmusza nas do porównań, które nie wypadają dla niego korzystnie. Kto czytał „Felkę“ Dąbrowskiego, temu wyraz „szwaczki“ budzi w duszy obraz odrębnego świata istnień, pojęć i doli tych biednych niewolnic igły, tych poczciwych a tragicznie głupich Felek, które wyzyskuje i może wyzyskiwać każdy, których dobre serce jest błogosławieństwem i klątwą zarazem, które — snujmy dalej — może uwieść każdy, nietylko miotany żądzą, ale nawet przelotnym kaprysem, uwieść i z tak zwanem czystem sumieniem porzucić, z któremi nikt sobie skrupułów nie robi, boć to przecie poczciwe, głupie Felki. Dąbrowski jest nietylko bacznym spostrzegaczem, ale i bacznym artystą; utworowi swojemu nie dał tytułu „Szwaczek;“ powiedział sobie: widziałem Felkę, opiszę Felkę; jest to już niemal wstrzemięźliwość uczonego, który lęka się zbyt pospiesznych uogólnień: wiedział zresztą, iż w ramach jednej postaci nie da się zamknąć epopei całego rodzaju; okazał się zatem dobrym artystą, gdyż dał to, co dać zamierzał. A ponieważ wywarł na nas wrażenie zarówno tematem, jak i jego opracowaniem, ponieważ zwrócił uwagę naszą na ten odłam ludzkiego życia, przeto zaczęliśmy najpierw myśleć nad jego książką a następnie baczniej przyglądać się tej sferze stosunków; powoli zatem nowela jego łącznie z dalszemi spostrzeżeniami naszemi urosła nam w duszy do rozmiarów eposu, tak, iż na każdo dzieło, wysnute z tego kłębka istnienia ludzkiego, patrzeć będziemy bardziej wymagającem okiem, niż patrzyliśmy swego czasu na „Felkę,“ gdyż autor tego utworu, zmuszając nas do myślenia, podniósł stopę naszych wymagań. Jeżeli przeto spotykamy na afiszu zapowiedź sztuki, której tytuł obejmuje nie jakąś jedną Felkę, lecz cały ich ogół, cały rodzaj, całe plemię Felek, jednem słowem „Szwaczki,“ to spieszymy do teatru jeż teraz wprost żądając tych szwaczek i biada autorowi, jeśli będziemy o tych szwaczkach więcej od niego wiedzieli. Teatr wyzwał niejako literaturę książkową na pojedynek, więc jakojej dobrzy znajomi i przyjaciele podążamy na przedstawienie w charakterze jej sekundantów, którzy w imię prawidłowego spotkania zachowują się ściśle bezstronnie. Lecz jakże bolesne zdziwienie ogarnia nas, jakiegoż rozczarowania doznajemy, gdy zjawiwszy się dochodzimy do wniosku, że to tylko w naszym oślepionym literaturą umyśle zrodziło się mniemanie, iż ujrzymy na scenie dalszy ciąg świata, dalszy ciąg tematu, dalszy ciąg literatury. Spotykamy inny świat, inną literaturę. Te dwa światy, te dwie literatury — to jak Europejczyk i Chińczyk. Chińczyk teatralny opowiada Europejczykowi - widzowi historye, które on na pamięć umie, zdobywa twierdze, leżące od dawna w gruzach i odkrywa prawa moralne, które Europejczyk właśnie zamyśla u siebie wytrzebić. Chińczyk usiłuje nawet polemizować z Europejczykiem, stwarza naturalnie parodyę polemiki i naiwnością swoją nie mogąc nas pobudzić do śmiechu, nudzi jeno.

Bałucki ma być demokratą. Ale z tą demokracyą poczęło być tak, jak z lusterkiem, przed którem każdy się wdzięczy, kto ma pretensye do etycznego wdzięku. Wytworzyły się zatem różne gałęzie stronnictw demokratycznych, więcej lub mniej konsekwentne, śród których drobnomieszczański demokratyzm galicyjski jest prawdziwą perłą zarówno logiki, jak patosu. Zbyt źródłowo i obszernie wyjaśniano to w zakresie zjawisk polityczno-społecznych; tu możemy mówić tylko o dramaturgii demokratów galicyjskich, a wystarcza nam w zupełności ostatni utwór Bałuckiego. Mamy prawo rozprawiać z nim o tem, gdyż w sztuce swojej polemizuje niemal z pianą na ustach. Podejmujemy przeto rękawicę polemiki i pytamy, czy w kraju, w którym rocznie umiera 50,000 nędzarzy na tyfus głodowy i choroby nagminne, a drugie 50,000, czy

bodaj więcej, ucieka po ratunek za morze, w którym lud je za pół człowieka i wskutek tego tylko za ćwierć człowieka pracować może, czy w tym kraju demokratyczni autorowie-satyrycy walczą o tak zasadnicze prawa społeczne, jak 1) każda obywatelka, która straciła majątek, ma prawo zostać poważaną szwaczką, 2) każdy uczciwy hrabicz, którego wydziedziczyły ciotki za to, iż nie chciał się ożenić z bogatą paskudnicą, ma prawo zostać poważanym konduktorem i 3) każda poważana szwaczka i mąż jej introligator mają prawo uczestniczenia w balach publicznych?? I śród armii niewolnic igły wzbudziły litość w demokratycznym autorze tylko ex-obywatelki? To bankrutki — a gdzie szwaczki? To szlachta upadła, która usiłuje dźwignąć się — odjęto jej prawa bogatych — gdzież naruszone prawa biednych? Gdzież tu zagadnienie natury demokratycznej? Było, lecz go autor śród postaci przez siebie samego stworzonych nie dojrzał. W ordynarnej „tancbudzie,“ śród zgiełku i wrzawy siedzi w kuchni za parawanem biedny, zahukany brudas kobiecy, płatne popychadło, kołyszące dziecko Skoczkowskiego, biorące jeno raz po raz szturchańce i wyprawiane co chwila na miasto za sprawunkami. Jest to jedna z kalek, niegorszych od kalek maeterlinkowskich, których wprowadzanie na scenę autor wyśmiewa; sam jednak wprowadza to kalectwo brudoty i nad szturchańcami, nad zahukaniem i brudem, on, demokrata, przechodzi bez uwagi do porządku dziennego. Zaiste morze demokracyi galicyjskiej jest głębokie jak talerz, którego dna sięgnąć można łyżką kastowych interesów.

Bałucki nie stwarza typów, tylko karykatury, które nieraz łudząco przypominają rysunki Kostrzewskiego. Lecz cnotą Kostrzewskiego jest zwięzłość i bezpretensyonalność; Bałucki natomiast trzyma nas przed swoim teatrzykiem przez cały wieczór i pomysły o charakterze szkiców pism humorystycznych oprawia w ramy płócien Matejkowskich.

Andrzej Niemojewski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POEZYE. Nakładem Gebethnera i Wolffa wyszło zbiorowe wydanie *Pism* A. Asnyka, w pięciu tomach, z portretem i przedmową S. Krzemińskiego.

— J. Kasprowicz: „Krzak dzikiej róży“ (263 str.). Lwów.

POWIEŚCI. T. Szablowski: „Emancypantki warszawskie“ (344 str.).

BADANIA NAUKOWE. Ukazały się jednocześnie dwa przedruki prac J. Ochorowicza: „Wiedza tajemna w Egipcie“ („Biblioteka dzieł wyborowych“) i „Bezwiedne tradycye ludzkości.“

— Znakomity popularyzator, S. Kramsztyk, wydał nakładem Arcta wykład astronomii p. t. „Ziemia i niebo,“ część I — „ziemia jako bryła niebieska,“ z 75 figurami (218 str.).

DLA MŁODZIEŻY. „Legendy, czyli cudowne powieści z dawnych czasów.“

SPRAWY SPOŁECZNE. J. Rotman: „Kilka słów o stowarzyszeniu subjektów handlowych wyznania mojż.“ Autor poddaje krytyce działalność zarządu tej instytucyi, oskarżając go o samowolę.

SŁOWNIKI. W. Kierst i O. Callier: „Słowniczek polskiego i angielskiego języka“ (421 i 398 str., cena 5 marek), Lipsk, Otto Holtz.

POEZYE

Do Erosa.

(z Poezyj Leconte de Lisle.)

Ziemia ta płodna — muzyką
Jęków uskarża się dziką,
Że w szale swym wiecznym trwasz —
Erosie, niebios władyko,
Erosie, pogromco nasz!
Po falach burzliwych mórz,
Po śnieżnych wierzchołkach gór,
Po przez doliny kwitnące,
Śród wonnych lilij i róż,
Gdzie nimf rozpląsanych chór
Wesoło igra na łące, —
Do wszystkich brzegów i ziem
Dobiegasz ognistym tchem.
I szybkonogie łowczynie,
Gdy pędzą za zwierzem w dół,
W zielonych lasów gęstwinie
Doganiasz i w sieci strącasz...
I mędrców spokój zamącasz,
Zrywając wieńce z ich czół!
Gdy ciche panuje noc,
Małżonka w swem sercu czystem
Palona tchem twym ognistym,
Miłości odczuwa moc;
I na swem łożu samotnem
Ponętnym oddana snom,
Drży pod dotknięciem pieszczotnem
Marząc, że wchodzisz w jej dom.
Ugodzon pociski twemi,
Nim nadszedł znikomy kres,
Wszelki śmiertelnik na ziemi
Oczy miał mokre od łez,
I patrząc na krwi obfitość
Z otwartych płynącą ran,
Twą ostrą swawolą gnan,
Głośno cię błagał o litość.
Lecz ty nie zrywasz swych sideł,
Ty nigdy nie zwijasz skrzydeł,
Nigdy nie ścicha twój szał.
Więc w szczytnej niebios krainie
Drżą nieśmiertelne boginie
Przed mocą promiennych strzał.
Sen tobą pełny i jaw,
Słucha cię przestwór powietrzny,
I przestrzeń i czas odwieczny
Pilnują wiecznych twych praw.
Śród ziemskich i wodnych dróg,
I tam gdzie niebios jest próg,
Wszędy pociskiem swym władasz
I na Olimpie zasiadasz
Śród bogów — najwyższy bóg!
Ziemia ta płodna — muzyką
Jęków uskarża się dziką,
Że w szale swym wiecznym trwasz —
Erosie, niebios władyko,
Erosie, pogromco nasz!

Przeł. *Leo Belmont.*

SPRAWY EKONOMICZNE

ROZWÓJ KAPITALIZMU.*)

Obecnie przetłomaczona na język polski książka J. A. Hobsona stanowi w naszem tak ubogiem piśmiennictwie naukowem nabytek bardzo pożądany. I nietylko u nas. Jakkolwiek dość uważnie śledzimy rozwój literatury ekonomicznej, a przynajmniej tego jej działu, który opuszczając grunt czczych definicyj lub specyalnych zaciekań, usiłuje odtworzyć całokształt dzisiaj istniejących stosunków w ich wzajemnej zależności i powiązaniu dynamicznem, to przecież nie moglibyśmy wskazać ani jednego dzieła, któreby zdołało wytrzymać porównanie ze świeżo spolszczoną książką. Wprawdzie istnieją próby, odznaczające się większym polotem myśli i jej oryginalnością, ale żadna nie ogarnia tylu zagadnień, ani nie daje pojęcia o tylu stronach. Zresztą nadaremnie poszukiwalibyśmy tam rzeczy nowych; badacz angielski jedynie umiejętnie zestawia to, co inni zrobili i wysnuwa wywody z założeń oddawna znanych.

Zadanie krytyka, mającego na szpaltach pism tygodniowych zdać sprawę z podobnej książki, jest niełatwem. Hobson pisze bardzo zwięźle; czuć tam z każdej stronicy pisarza, któremu nie chodzi o paradoksy, ani o formę, tylko o treść. To popierwsze. Powtóre są dzieła, względem których popełnia się pewnego rodzaju występek, jeśli wyciąga się z nich pojedyncze zdania i poddaje się je ostracyzmowi. Takie postępowanie przypominałoby pedanta, który stanąwszy wobec olbrzymiego budynku, zwróciłby uwagę na jakąś wadę w gzemsie, w wykończeniu lub w użytym materyale. U Hobsona moglibyśmy znaleźć wiele takich usterek, ale nikną one w ogromie podniesionych zagadnień, oraz zręczności, z jaką dokonano analizy. Nadto nie widzimy żadnej przyczyny, której z rozbieranych tam kwestyj więcej udzielić miejsca. Chcąc sumiennie wywiązać się z obowiązku, trzeba byłoby zastanowić się nad każdą z nich po kolei. Naturalnie, musimy wyrzec się tego. Poprzestaniemy więc tylko na przedstawieniu pytań, któremi autor zaprząta się, oraz charakterystyce ducha, ożywiającego to dzieło. Pozwolimy jednak sobie zaznaczyć pewne braki w książce Hobsona, naszem zdaniem dość poważne. Rozpatruje on w gruncie rzeczy tylko ustrój wytwórczy chwili obecnej, jedynie mimochodem potrącając jego funkcye rozdzielcze. Takie giełdy, te targi towarów na wielką skalę i zarazem nieświadomie a żywiołowo działające komitety statystyczne społeczeństwa dzisiejszego, nie doczekały się u Hobsona uwzględnienia, a tymczasem ich powiązanie wzajemne, rola tranzakcyj terminowych itd. dużo przyczyniłyby się do wyjaśnienia czytelnikowi natury rynków, właściwych ustrojowi kapitalistycznemu. Badacz angielski wprawdzie świadomie usuwa studya nad skomplikowanym systemem monetarnym. „Jakkolwiek badanie tego rodzaju — pisze on — mogłoby w wielu miejscach rzucić światło na działanie konkretnych czynników przemysłowych, jednak trudności intelektualne, wynikające z prowadzenia jednocześnie podwójnego badania, z ciągłego przechodzenia od konkretnego zapatrywania się na zjawiska przemysłowe do bardziej oderwanego, zbyt krępowałyby działalność umysłową i zmniejszyłyby szanse istotnie dokładnego zrozumienia każdej strony teraźniejszego przemysłu.“ Stanowisko to słuszne, lecz system rozdzielczy nie jest jeszcze identyczny z monetarnym i opuszczenie analizy stosunków pomiędzy giełdami stanowi niewątpliwie dotkliwy brak dzieła Hobsona. Powtóre, z pośród mechanizmu wytwórczego autor wybrał dział, przedstawiający dążenia dzisiejszej epoki gospodarczej najwyraźniej — przetwórczy, tymczasem na uboczu pozostawił cały ogrom stosunków rolnych. Pomijanie tej tak obszernej i zarazem zawikłanej sfery objawów społecznych jest właściwe prawie wszystkim analitykom ustroju dzisiejszego: zapatrzeni w potężne siły przemysłu nowożytnego, w przejrzyste jego tendencye, lekceważą oni lub zaniedbują pole nie tak wdzięczne, tj. niepoddające się tak łatwo analizie. To też

*) T. A. Hobson: *Rozwój kapitalizmu współczesnego.*

gdy znajomość stosunków, istniejących w produkcyi przetwórczej, jest dość znaczną, wciąż jeszcze błądzimy po omacku co do sił, działających w rolnictwie, czyli właściwiej w produkcyi wiktuałów. Lecz i tutaj trudno robić zarzut Hobsonowi z tego, że nie uwzględnił stosunków, o których z góry zapowiada, że ich nie dotknie. „Metoda tutaj przyjęta — oświadcza on na wstępie — polega na obraniu za nić przewodnią jednego doniosłego czynnika we współczesnym ruchu przemysłowym, na studyowaniu prawa jego rozwoju i działania, aby w ten sposób, obserwując stosunki pomiędzy nim a innymi głównymi czynnikami lub siłami w przemyśle, dojść do jaśniejszego ocenienia i zrozumienia ustroju przemysłowego, jako całości, oraz jego stosunku do rozwoju społeczeństwa ludzkiego. Główny ten czynnik jest wskazany przez nazwę kapitalizmu, stosowaną specyalnie do nowożytnego przemysłu." Jak więc widzimy, Hobson nadaje terminowi „kapitalizm" znaczenie, dość odmienne od tego, jakie on posiada u szkoły krytycznej, poniekąd zacieśnia je. „Jakiekolwiek zaszły zmiany — pisze on dalej — w naturze ziemi i materyałów surowych oraz w pracy lub w zdolnościach i zręczności ludzi, przerabiających materyały surowe, zmiany owe głównie i bezpośrednio powstały skutkiem szerszego i bardziej złożonego użytkowania tej formy bogactw materyalnych, która choć jest wcieleniem pewnych wysiłków ludzkich, nie może jednak służyć bezpośrednie do zaspokojenia potrzeb człowieka."

Głównym czynnikiem materyalnym w rozwoju kapitalizmu są maszyny. Wzrastająca ich liczba i złożoność zastosowania do celów fabrycznych, przewozowych i eksploatacyi bogactw naturalnych stanowią szczegół charakterystyczny w historyi rozszerzania się przemysłu nowożytnego. Należy więc w rozbiorze kapitalizmu zwrócić główną uwagę na postęp, dokonywany w tych narzędziach, oraz na wpływy przez nie wywierane. Przedewszystkiem trzeba zrozumieć punkt wyjścia społeczeństwa dzisiejszego, tj. ustrój jego w chwili, w której zaczęły na niego działać nowoczesne siły przemysłowe, oraz w okresie bezpośrednio poprzedzającym. Następnie badacz angielski przechodzi do studyów nad zasadniczemi gałęziami przemysłu, produkującego za pomocą maszyn i motorów i stara się wyznaczyć prawa rozwoju i zastosowania nowych sił w różnych zawodach i w rozmaitych zakresach świata przemysłowego. Wreszcie zwracając się od części pojedynczych do całości, tj. do „organizmu przemysłowego," usiłuje scharakteryzować główne zmiany, jakie zaszły w ustroju przemysłu, w stosunku wzajemnym poszczególnych części świata przemysłowego, oraz wewnątrz każdej z jego gałęzi w stosunkach pomiędzy przedsiębiorstwami, tworzącemi zawód lub rynek, wreszcie w stosunku kapitału do pracy w obrębie tego samego przedsiębiorstwa. Takiem jest podłoże zasadnicze wywodów ekonomisty angielskiego. Wychodząc z przedstawionych faktów, zatrzymuje się jeszcze nad niektóremi z następstw produkcyi maszynowej. Chodzi mu popierwsze o zbadanie wpływów wytwarzania maszynowego na rozmiary pojedynczej firmy oraz napięcie, względnie osłabienie współzawodnictwa wzajemnego, o warunki powstawania trustów i innych form nowoczesnego monopolu kapitalistycznego, o zastoje i zaburzenia w przemyśle, wynikające ze sprzeczności, jaka istnieje pomiędzy interesami indywidualnymi a społecznymi przy posługiwaniu się maszynami. Powtóre, usiłuje przedstawić wpływ maszyn na pracę, ilość i stałość zajęcia, rodzaj i wynagrodzenie pracy, oraz rolę kobiety w przemyśle; oddziaływanie nowoczesnych narzędzi produkcyi na zdolności spożywcze warstw przemysłowych, wzrost wielkich miast i wpływ ich na fizyczne, umysłowe i moralne życie ogółu. Wreszcie na zakończenie zestawia on wpływy współczesnej produkcyi kapitalistycznej z innemi społecznemi siłami postępu i stara się uwydatnić wzajemny stosunek tych czynników, które najskuteczniej prowadzą do pomyślności, o ile powszechnie przyjęta norma szczęścia ma służyć za skalę.

Taką jest niezmiernie obfita treść analizy Hobsona. Jakeśmy już oświadczyli, niepodobna wdawać się w rozbiór poszczególnych poglądów, wypowiedzianych przezeń przy tej okazyi. Natomiast musimy zwrócić uwagę na kilka ustępów jego książki, będących rodzajem zakończenia.

Jego zdaniem postęp, który winien zapobiedz dzisiejszym klęskom i niedomaganiom społecznym i zapewnić rodowi ludzkiemu wszelkie korzyści, wypływające ze stosowania maszyn, usunąć zaś szkodliwe ich strony, odbywać się musi w dwu kierunkach, a mianowicie w kierunku: 1) dostatecznej kontroli społecznej nad produkcyą maszynową, 2) takiego rozwinięcia sposobów wytwarzania, któreby wyznaczyło właściwe granice dziedzinie takiego sposobu wytwarzania.

Co do pierwszego punktu, kontroli społecznej, ujawnia się ona z jednej strony w prawodawstwie fabrycznem, z drugiej w przejmowaniu przez państwo lub inne jednostki więzi społecznej rozmaitych działów przemysłu. Gałęzie produkcyi, które państwo w interesie robotników lub spożywców ogranicza lub kontroluje, uważać można za przekształcające się z prywatnych i konkurencyjnych na publiczne i niekonkurencyjne. Atoli, zdaniem Hobsona, na pytanie: jak daleko i szybko posuwać się będzie taka kontrola zbiorowa, niepodobna dać odpowiedzi ściślejszej, tylko że w miarę, jak coraz większa część przemysłu przechodzić będzie do stanu dzisiejszego, właściwego gałęziom produkcyi najbardziej posuniętym i rozwijać się będzie, wyłaniając odpowiednie korzyści, niebezpieczeństwa i straty, coraz też większa część podlegać będzie ograniczającemu prawodawstwu, albo przechodzić pod zarząd państwa.

Co do drugiego punktu, według badacza angielskiego cały postęp społeczny zależy od zastąpienia ilościowych sposobów spożycia przez jakościowe. O ile jednostki używają swej zwiększającej się zdolności spożywczej na artykuły, z których korzystały poprzednio, lub też na żądanie towarów modnych, błyskotliwych, lecz bynajmniej nie przystosowanych do potrzeby indywidualnej lub upodobania, o tyle rozszerzają one jedynie sferę maszyn. Przeciwnie, gdy chodzi im raczej o zadowolenie gustu osobistego, raczej o delikatność niż ilość, o tyle zwiększać będą pole pracy, które użytkuje z świadomej zdolności ludzkiej i zasługuje na nazwę sztuki. Ponieważ rozwój dąży do wzbogacenia życia indywidualnego i ułatwienia wyższych form potrzeb ludzkich, przeto należy spodziewać się, że coraz więcej wysiłków ludzkich ucieleśniać się będzie w tych gałęziach przemysłu, które będą pozostawione pobudce i kontroli indywidualnej, oraz w sztukach, w których samodzielność osobista znajdzie wolne pole do wyrażania fizycznego i moralnego piękna i osiągnięcia prawdy intelektualnej. „Bezgraniczna rozmaitość, którą przyjąć mogą te formy artystycznego wyrażania, brzemienne indywidualnością artysty, zapobiegnie przejściu ich kiedykolwiek do szeregu przemysłów rutynicznych lub wspólnych, jakkolwiek nawet w sztukach pięknych będą pierwiastki, które przechodzić będą w posiadanie wspólne i w miarę tego, przestając interesować jednostkę, zamienia się na działalność rutyniczną. Idea ciągłości postępu ludzkiego wymaga takiego przypuszczenia. Ponieważ wszakże każde wkroczenie rutyny do sztuk wyższych jest spowodowane przez poprzednie podniesienie interesu spożywcy do form wyższego wyrafinowania, przeto zdolność indywidualnego ćwiczenia się w pracy artystycznej nietylko nie na tem nie straci, lecz przeciwnie zyska. W każdej formie działalności ludzkiej postęp rutynicznego przemysłu będzie niezbędnym warunkiem rozszerzenia swobodnego wyrazu indywidualności. Jakkolwiek wybór każdej wyższej formy „przemysłu" i zarząd nią pozostaną sprawą jednostki, w miarę wszakże jak moralnoą więzy społeczeństwa uznawane będą z większą świadomością, „artysta" również poświęcać będzie coraz bardziej pracę swoją na usługi bliźnim. W ten sposób będzie zachowaną równowaga pracy społecznej i indywidualnej dla zaspokojenia potrzeb ludzkich, ilość zaś tych potrzeb wzrastać będzie i przybierać rozmaitą wartość wraz z postępem życia społecznego i osobniczego."

L.

PRASA POLSKA

Wiek podaje nowy kwiatek krasomówstwa p. J. Kościelskiego, uszczknięty z pruskiej Izby panów podczas obrad nad funduszem kolonizacyjnym:

„Co do mnie — prawił ten mąż — nigdy nie ubiegałem się za popularnością, nigdy nie spieszyłem tam, gdzie tłumy biegły, dlatego też byłem zawsze wystawiony na największe oszczerstwa, tak ze strony polskich nieprzejednanych, jako też ich sprzymierzeńców, szowinistów niemieckich. Nie pragnąłbym, aby z tych moich słów wznosić można, jakobym całą winę naprężenia, które obecnie jest większe, aniżeli kiedykolwiek, między obiema narodowościami na wschodzie, przypisywał *jedynie ludności polskiej i polskim przywódcom*. Ja tych niepowołanych przywódców zawsze bardzo ostro potępiałem i *nigdy ze swojego serca nie robiłem przytuliska zbójców*. Ja zawsze otwarcie mówiłem, że i swojem działaniem i swojem postępowaniem rządowi pruskiemu i opinii publicznej w Niemczech nie dają *rzetelnego wyobrażenia* o stosunkach ludności polskiej i że *z samolubstwa narzucając się jako wybawcy i reprezentanci* ludu, kują broń, której teraz przeciwnicy Polaków przeciw ludności polskiej używają. To zawsze twierdziłem i wszędzie to wypowiem. Ale większa część winy tego wielkiego nieporozumienia — gdyż nieporozumieniem jest niewątpliwie to, co się u nas dzieje — większa część tego nieporozumienia spada na rząd pruski."

Według p. Kościelskiego „nie można było więcej zabagnić interesów ludności polskiej przez niegodne gonienie za popularnością i przez polityczną dwulicowość" — czyli że — jakkolwiek Niemcy również troszkę zawinili, głównymi sprawcami niedoli Polaków w Prusach są oni sami.

W DALI.

Lublin. Dnia 26 kwietnia przypadł termin licytacyi na zaprowadzenie w Lublinie tramwajów elektrycznych. W projekcie kontraktu zatwierdzonym uprzednio zastrzeżona była opłata conajmniej 30 rs. rocznie od każdego wagonu na rzecz miasta. Ostatecznie podniesiono sumę do rs. 60. Taką bowiem ofertę złożyli pp. Da-

mielewski i Szpigier, przedstawiciele firmy frankfurckiej „Lamayer,“ którzy utrzymali się przy licytacyi, gdyż nikt więcej do niej nie stanął. Złożyli oni uprzednio kaucyę w wysokości 15,000 rs. Koncesya obejmuje okres 35-letni, ale już po upływie lat 5-iu zarząd miejski zastrzega sobie prawo wykupu całego przedsiębiorstwa, gdyby to okazało się korzystnem dla gospodarki finansowej miasta. Linia tramwajów ciągnąć się ma od dworca kolei nadwiślańskiej na przedmieściu Piaski, przez ulice: Zamojską, Królewską, Krakowskie Przedmieście i szosę warszawską do punktu, zkąd wiedzie droga do osady Wieniawa. Nadto od zbiegu ulic Królewskiej i Krakowskiego Przedmieścia iść ma odnoga wzdłuż ulicy Nowej i Lubartowskiej do dzielnicy, zamieszkanej przez ludność żydowską. Tramwaje będą poruszane elektrycznością za pomocą akumulatorów z przewodnikami, ukrytemi pod ziemią. Przedsiębiorcy zaprowadzają tramwaje na własne ryzyko, miasto zaś daje im tylko monopol, zobowiązuje się nadto nie puszczać w ruch, przez czas trwania koncesyi, omnibusów konnych, wreszcie udziela bezpłatnie placów miejskich, niezbędnych do wzniesienia remizy wagonowej, przystanków i stacyi. W ciągu pierwszych dwóch lat eksploatacyi przedsiębiorcy nie będą uiszczali żadnych opłat na rzecz miasta z tytułu monopolu, dopiero poczynając od trzeciego roku opłacać mają po 60 rs. rocznie od każdego wagonu, osobowego i towarowego. Niezależnie od eksploatacyi tramwajów, przedsiębiorcom służy prawo oświetlenia elektrycznością domów i lokalów, prywatnych i skarbowych, dopóki nie zajdzie potrzeba zaprowadzenia oświetlenia elektrycznego ulic (i domów) na mocy kontraktu, zawartego z innym przedsiębiorcą.

Łódź. Przemysłowiec i kupiec, p. Jan Gajewski, otrzymał od ministeryum spraw wewnętrznych pozwolenie na przewóz podróżnych i towarów omnibusami systemu samochodowego na głównych drogach bitych gubernii Piotrkowskiej i Kaliskiej. Na początek zamierza on puścić samochody na traktach: Piotrków—Łódź, Piotrków — Tomaszów, Piotrków— Szczerców, Piotrków — Kalisz i Kutno — Kalisz. Dzięki temu, czas podróży pomiędzy n.p. Piotrkowem a Kaliszem skróci się z 18-tu (końmi) do *sześciu* godzin.

Radom. Zmarły w r. 1853, właściciel dóbr Włostów, w pow. Sandomierskim, zapisał fundusz, który obecnie doszedł do 83,000 rs., na utworzenie w majątku powyższym schronienia dla starców, niezdolnych do pracy. Kapitał ten był umieszczony w Banku państwa. Długo w tej mierze usiłowania poprzedniego dziedzica Włostowa, Stanisława Karskiego, napotykały mnóstwo przeszkód. Obecnie sprawa daje się załatwić pomyślnie. Dzięki zabiegom właściciela obecnego, p. Michała Karskiego, zapis wkrótce wprowadzony będzie w życie. We Włostowie stanie tedy osobny budynek, mieszczący obszerne pokoje dla 23 starców płci obojej, tudzież izbę felczerską, w której felczer udzielać będzie bezpłatnej porady włościanom miejscowym; wreszcie jest w projekcie ochrona dla dzieci, o ile posiadany kapitał na to starczy. Gmach ma być piętrowy w stylu gotyckim. Grunt na budowę i ogrody ofiarował bezpłatnie obecny właściciel, który będzie kuratorem nowej instytucyi. W sezonie tegorocznym staną mają fundamenty przytułku i zwiezione będą wszystkie materyały budowlane.

Grodno. Grodzieńskie Towarzystwo rolnicze na samym wstępie zakreśla już sobie program pożytecznej i nawet dość rozległej działalności. Oto wnioski, które mają być przedstawione ogólnemu zgromadzeniu członków: 1) Utrzymywanie księgi zażądań i zaofiarowań wszelkich posad gospodarskich, oraz przedmiotów, mających związek z rolnictwem, a więc: inwentarza, zwłaszcza rozpłodowego, wszelkiego rodzaju nasion itd. 2) Zawiązanie stosunków ze składami narzędzi rolniczych, żelaza itp. i otrzymanie od cen zwykle praktykowanych znacznych dla stowarzyszonych ustępstw. 3) Wyszukanie agentów, zamieszkujących w dogodnych dla handlu punktach, do pośrednictwa w sprzedaży wszelkich produktów rolnych; z powodu dotychczasowej szczupłości funduszów Towarzystwa, agenci nie mieliby stałej płacy, ale jako wynagrodzenie otrzymywaliby pewien procent od zawartych umów. 4) Ustanowienie agentury ubezpieczeń, która pozwoli stowarzyszonym znacznie taniej, aniżeli dotychczas, asekurować swe majątki. 5) Wyrobienie w jednym z banków dogodnego kredytu krótkoterminowego dla członków Towarzystwa, a jako „desiderata,“ otwarcie dla nich z czasem kredytu melioracyjnego. 6) Urządzenie w jesieni wystawy reproduktorów z charakterem targowym i licytacyą dostawionych okazów.

Ryga. *Ryskij Wiestnik* podaje wiadomość następującą: Kurlandzki gubernialny marszałek szlachty, hrabia Keyserling, wystosował w imieniu całego stanu prośbę o pozwolenie na gimnazyum i utrzymywanie go kosztem szlachty na następujących zasadach: 1) dla wychowania i kształcenia dzieci szlachty powstaje wyłącznie z funduszów szlachty kurlandzkiej gimnazyum, utrzymywane przez nią; 2) gimnazyum posiada dwa odziały: klasyczny i realny; 3) wychowańcom obu oddziałów służyć będą prawa stosownych średnich szkół rządowych ministeryum oświaty; 4) szlachta wybiera kandydatów na posady dyrektora i nauczycieli gimnazyum i przedstawia ich do zatwierdzenia ministeryum oświaty; 5) doświadczenie dowodzi, że nauka niektórych przedmiotów może być skuteczna tylko w takim razie, jeżeli odbywa się w zrozumiałym zupełnie dla uczniów języku; z tego przeto względu wolno będzie w gimnazyum posługiwać się językiem niemieckim, wykładowym; w takim zakresie, w jakim stosują go w gimnazyach, istniejących przy kościołach ewangielicko-luterańskich w Petersburgu; 6) przy gimnazyum założony będzie pensyonat, w którym wychowańcy znajdą możność praktycznego ćwiczenia się w języku rosyjskim, tak aby go zupełnie sobie przyswoili. Zabiegi te pozostawiono bez skutku. Według *Petersb. Zeitung*, sprawa powyższa tak się przedstawia. W prośbie zobrazowano stan obecny szkolnictwa ludowego i proszono o ustanowienie zamiast przepisów tymczasowych z r. 1887, ostatecznego prawa, któreby zapewniło religijno-moralny kierunek wykształcenia ludowego z uwzględnieniem następujących zasad: 1) wyznaniowego charakteru szkoły ludowej; 2) miejscowych języków ojczystych, jako wykładowych, wraz z nauką języka państwowego w granicach możności i 3) z utrzymaniem pożytecznego udziału organów samorządowych w zarządzie szkół ludowych. Do podania załączono oświadczenie, że obowiązujące obecnie przepisy tymczasowe nie zapewniają religijno-moralnego wychowania ludu i odsuwają szlachtę liflandzką od udziału w zarządzie szkoły ludowej. W d. 28 listopada marszałek szlachty liflandzkiej uzyskał posłuchanie w sprawie swej prośby. Następnie pismem z d. 10 grudnia r. z. zarządzający kancelaryą próśb zakomunikował mu postanowienie z d. 4 grudnia osnowy następującej: „Prośbę o zastąpienie przepisów tymczasowych, dotyczących szkół elementarnych w guberniach nadbałtyckich z d. 17 maja 1887, które obecnie weszły do ułożonego zbioru rozporządzeń o zakładach naukowych ministeryum oświaty (Pr. państ. T. XI, cz. I) i które mieszczą się w §§ 3598—3641 rzeczonego zbioru — przez nowe prawo, jako też o udzielanie wykładów w szkołach ludowych gubernii liflandzkiej nie w języku rosyjskim, lecz w miejscowych łotyskim i estońskim — pozostawić bez skutku.“

KRONIKA.

Nansen przejeżdżał przez Warszawę. Reporter *Kuryera Warsz.* „interviewował“ znakomitego podróżnika, który mu oświadczył, że „o wyprawie Andrego nie da się nic powiedzieć, a nawet nic określonego przypuścić.“ Nareszcie coś wiemy!

Spekulacya. Wojna hiszpańsko - amerykańska dała sposobność przekupniom i handlarzom do wyzysku publicznego. Wszystkie produkty spożywcze niesłychanie podrożały, pomimo że większość z nich nie ma nic wspólnego z rynkami zaoceanowymi. Piekarze nagle podwyższyli ceny, ale ci przynajmniej zasłaniają się innymi wyzyskiwaczami, to jest handlarzami zboża, którzy sprytnie skorzystali z obecnych wypadków politycznych, bez względu na to, że tak zwane konjunktury handlowe na rynkach międzynarodowych mogą odczuć skutki wojny dopiero za kilka miesięcy. Rzeźnicy również starają się upozorować zwyżkę niby znacznem zapotrzebowaniem bydła na rynki petersburskie, na które w ciągu ostatnich dwu tygodni wysłano 2,000 sztuk. Jednocześnie z żądaniem bydła do Petersburga podobno zmalał jego dowóz do Warszawy z gubernij stepowych, skutkiem czego wzrosło poszukiwanie wieprzowiny, która również zdrożała. Jest to oczywiście bardzo niezręczna bajka, ukuta przez „ekonomistów“-rzeźników, gwoli własnej kieszeni. Spożywcy miast wielkich mają stałą normę, która nagle nigdy się nie zmienia. Spekulanci zawahali się wystąpić z całą bezczelnością i powiedzieć, że to wojna hiszpańsko-amerykańska jest przyczyną ich spekulacyi i dlatego ułożyli bajeczkę, która w ich mniemaniu ma być więcej zbliżoną do prawdy. Warto, ażeby nacisk administracyjny położył tamę temu wyzyskowi.

Szkoły. Otworzono szkołę kolejową w Strzemieszycach. Budynek obszerny mieści cztery duże sale i mieszkania dla nauczycieli. Do zakładu mają wstęp dzieci płci obojej. Na utrzymanie szkoły zarząd kolei Dąbrowskiej przeznaczył rocznie 1,200 rubli.

— Dyrektorem Instytutu politechnicznego w Warszawie mianowano profesora uniwersytetu warszawskiego, p. A. Lagorio.

— Koszty budowy politechniki kijowskiej wraz z urządzeniem pracowni, biblioteki, pól doświadczalnych (dla wydziału rolniczego) itd. wyniosą 1,200,000 rs.

— Inspektor szkół m. Warszawy wystąpił do magistratu z projektem otwarcia dziesięciu nowych szkół rzemieślniczo-niedzielnych. Jest ogółem w całem mieście około 12,000 terminatorów przy majstrach cechowych, w 28 zaś szkołach rzemieślniczych, pomimo ich przepełnienia, uczy się zaledwie 2,635, dla pozostałych zaś niema już miejsca. W r. b. odmówieno przyjęcia 1,278. Z tej liczby do nowo-otworzonych pięciu szkół może być przyjętych tylko 250, zostanie więc nieprzyjętych 1,028, czyli razem w stosunku do ogólnej liczby jeszcze 8,000. Z tych powodów p. inspektor prosił magistrat o wyznaczenie funduszu na otwarcie nowych szkół. Na utrzymanie ich potrzeba 4,904 rs.

— Ministeryum rolnictwa opracowywa następujące typy szkół kobiecych: 1) ekonomek i gospodyń; 2) specyalnych dla osobnych gałęzi gospodarstwa rolnego, praktycznych; 3) seminaryów żeńskich rolniczych, tj. szkół przygotowawczych niższych; 4) szkół średnich, instytutów lub kursów dla kształcenia gospodyń z pośród właścicielek ziemskich.

Zdrowie publiczne. W miasteczku Skryhałowie, gub. Mińskiej, potrzebny jest lekarz. Obowiązki jego polegają na zarządzaniu szpitalem (10 łóżek) i obsługiwaniu ambulatoryum, liczącego do 3,700 odwiedzających rocznie. Lekarz ma przeznaczoną pensyę roczną w kwocie 920 rs., otrzymuje bezpłatny przejazd do miejscowości, nawiedzonych epidemią, oraz mieszkanie z opałem. Lekarze, ubiegający się o powyższą posadę, winni nadesłać ofertę wraz z dokumentami pod adresem p. gubernatora mińskiego.

Sądy. Obu oskarżonych: Wegmajstra o pośrednictwo w żądaniu datków, Kafafowa — o nadużycia w urzędowaniu, zmuszania zakładów żyrardowskich do datków pod groźbą ujawnienia wrzekomych nadużyć — sąd uniewinnił i uwolnił od wszelkiej odpowiedzialności.

Koleje i komunikacye. Pociągi kolei Syberyjskiej będą miały szybkość 25 wiorst na godzinę.

— Z początkiem sezonu letniego bilety powrotne w komunikacyi kolejowej podmiejskiej będą ważne nie na 7, lecz na 2 dni. I znowuż za niedołęstwo gospodarki kolejowej i za jej oszczędność na pensyach konduktorskich cierpieć musi publiczność. Wogóle wszelkie najlepsze dotychczas udogodnienia dano za pośrednictwem biletów sezonowych, mają być cofnięte, bo.. koleje nie mogą dać rady z garstką

szachrajów, wypielęgnowanych na gruncie własnych rządów.

Przemysł i handel. Wobrębie posiadłości Towarzystwa dnieprzańskiego wytrysnęło źródło nafty, wyrzucające na dobę po 300,000 pudów.

— Pozwolono w Warszawie założyć oddział Towarzystwa technicznego, z zastrzeżeniem, ażeby cała korespondecya była prowadzona wyłącznie w języku rosyjskim i aby na urządzanie zakładów naukowych technicznych, odczytów, pogadanek itd. wyjednywano za każdym razem oddzielne pozwolenie władz odpowiednich.

Wystawy i zjazdy. W Petersburgu zwołany będzie zjazd meteorologów.

— Pomiędzy 1-ym a 6-ym czerwca odbędzie się w Antwerpii trzeci z kolei kongres międzynarodowy, którego celem jest badanie spraw, dotyczących opieki nad skazanymi, obłąkanymi oraz dziećmi moralnie zaniedbanemi.

— W czerwcu r. b. odbędzie się we Lwowie drugi zjazd łowiecki.

— Na 18 maja zwołano w Petersburgu zjazd lekarzy kolejowych.

Zmarli. Benjamin Vautier, malarz rodzajowy w Düsseldorfie.

Wyszła z druku i jest do nabycia w redakcyi *Prawdy* książka

ZENONA PIETKIEWICZA

p. t.:

SZKICE SPOŁECZNE.

(I. Nędza i miłosierdzie. II. Hygiena i życie. III. Kobieta. IV. Samobójstwo).

Str. 253.

Cena rs. 1 kop. 20, z przesyłką rekomendowaną rs. 1 kop. 40.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 24 Апрѣля 1898 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.